

nieszka Holland: nigdy
nie będę ministrem kultury

46

Chcesz zbić fortunę
- kupuj fotografie!

38

Przypadek Chajzera, czyli
celebryci w pułapce reklamy

18

Szczenie

Jak je
zdobyć?

PRZE KROJ

NR 6 (3424) / 8 LUTEGO 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



oni już wiedzą

Makłowicz Stuhr Błaszczyk Szczygieł

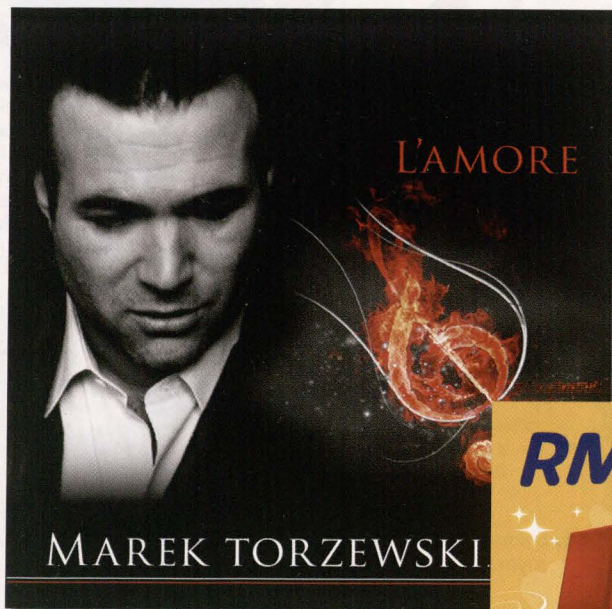
28

- Kazimierz Kutz
- Tadeusz Pieronek
- Emilian Kamiński
- Adam Nowak
- Krzysztof Michalski



Walentynki 2011

Spędź miły wieczór z muzyką w tle

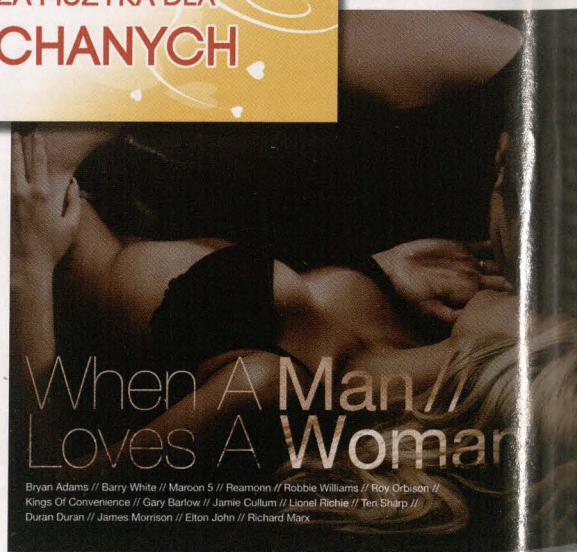


MAREK TORZEWSKI
L'AMORE 1CD
...NAJPIĘKNIEJSZE WŁOSKIE
PIOSENKI O MIŁOŚCI...



NAJLEPSZA MUZYKA DLA
ZAKOCHANYCH

RÓŻNI WYKONAWCY
NAJLEPSZA MUZYKA DLA ZAKOCHANYCH 2CD



RÓŻNI WYKONAWCY
WHEN A MAN LOVES A WOMAN 2CD

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

„Przekrój” w sieci:

Odkrycie amerykańskich naukowców wstrząsnęło światem. Nikt zrazu nie chciał mu dać wiary, ale testy na zwierzętach przyniosły jednoznaczne rezultaty. Wilcy dzikie, te najdziksze, z syberyjskiej tundry, bezlitośnie na strzepy rwące nawet próbujących przekupić je bimbrem klusowników – choć na bimber wilcy z wostoka dalekiego łase jak na spyrkę przecie – po tygodniu eksperymentalnej kuracji przechodziły na wegetarianizm. Mimo że chyba niewiele rozumieli wilcy owe, jak im laboranci czytali „Przekrój” przy karmieniu. A jednak coś do tych łebków psich przenikało. Podejrzewano interferencję fal mózgowych, jakiś rezonans niepojęty międzygatunkowy. Gdy wilczyca osierocone jagnięta karmiła własnym wymionem zaczęła, postanowiono, że czas sprawdzić Metodę na ludziach. Założono, że dzięki tej kuracji da się zrehabilitować nawet najstraszeniejsze człowiecze kreatury, o sercach zatrutych i zimnych, o bezwzględnych, spaczonych do cna umysłach: seryjnych morderców, zbrodniarzy wojennych itd. Na pierwszy ogień wzięli jednak uczeni prostego menela jakich wiele, lokalnego wirazkę z Żoliborza: Staśka. Stasiak ów rak brzydko się wyrażał, że mdlały przy nim damy (może i lepiej, bo na wyrażaniu się Stasiak ów bezecny nie przestawał). A i rechotał straszliwie. Już po tygodniu czytania mu „Przekroju” do piwa zaczął, miast rechotać, chichotać śludernie. I mały palec dystygowanie od ucha kufła odsuwał, piankę niespiesznie siorbiąc. I kłąć przestał! Raz tylko się zdarzyło, gdy laborant niezdarą stłukł fiaskę: – A niech to jasne motyle prądzie strzeli! – wybuchnął, lecz zaraz poczerwieniał zawstydzony. Amerykańscy naukowcy mieli rację. Teraz czas przetestować www.przekroj.pl.

Skargi, że w tym tygodniu nie ma słowa o Facebooku, Blipie i Twitterze – a co gorsza, nie ma nawet obrazków! – slij na redakcja@przekroj.pl.

W TYM TYGODNIU

JAK NAJSTARANNIEJ NIE PISZEMY...

...że posłanka Joanna Mucha tak – wedle własnych słów – „niechłujnie” autoryzowała swój wywiad dla partyjnej gazetki PO, iż wyszło na to, że „Starsi ludzie przyzwyczajeni [są] do traktowania wizyty u lekarza co dwa tygodnie jako rozrywki”, choć podobno chodziło jej o coś odrobinę innego. Gratulujemy postance, a przede wszystkim redaktorom partyjnego organu, którzy najwyraźniej nie czytają tego, co publikują, albo każde słowo swych parlamentarzystów traktują jak świętość. Aż chciałoby się niechłujnie zawołać: No, pięknie!

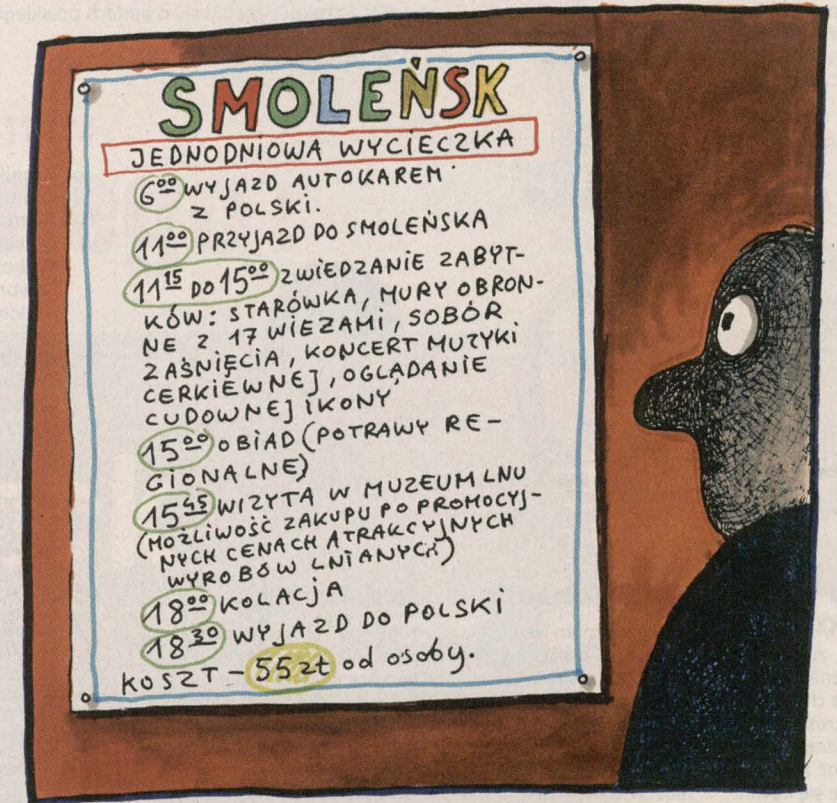
Mucha nie siada! – ale wszak nie wypada. ...że skrzyż się wyrafinowanymi ripostami sejmowy meczyk wokół głowy ministra Klicha wirtuozersko podsumowała w „Kropce nad i” posłanka Kempa z PiS: „Dla mnie żaden facet, który nie ma tęgiej głowy, nie jest facetem. Żyjemy w kraju Słowian i to jest oczywiste”. Bo tyle w tych skromnych zdaniach delirycznej głębi, że głowa nam spuchła. ...że głęboko zażenował się nienawistny i nieprzemysłany

wybryk będący jawnym sabotażem nie tylko wobec rodzącego się polsko-rosyjskiego partnerstwa, ale i wobec europejskich ambicji Małopolski. Oto samorządowcy z Poronina chcą przywrócić mu sławny pomnik Lenina i uczynić zeń atrakcję turystyczną na skalę europejską! Oto sekundują im władze wojewódzkie! A Stefan Niesiołowski mówi „nie”! Panie marszałku, niechże się pan opamięta, przecież jak dobrze poskrobać, to i Włodzimierz Iljicz okaże się nade wszystko antypisiosem *avant la lettre*. Czy to nie jest gra warta świeczki?

...że „Tomek czyta z scenariusze napisane na podstawie naszej książki” – miał powiedzieć tygodnikowi „Na Żywo” Piotr Krysiak, który wraz z agentem Tomkiem napisał emerycki romans „Agent Tomek. Spowiedź”. Podobno agent Tomek mógłby nawet zagrać samego siebie. Życzymy powodzenia, czekamy jak kania dżdzu i namawiamy, by od razu przymierzyc się do trylogii „Spowiedź”, „Pokuta”, „Rozgrzeszenie”. Oraz superbonusa w postaci części czwartej „Brylantyna jest wieczna”.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

O zakazie płatnych reklam wyborczych: zobaczyć kandydata w tv – bezcenne.

W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Agnieszki Graff
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

PRZED WSZYSTKIM

- 10 Egipt ogarnięty jest zamieszkami czy już prawdziwą rebelią? Łukasz Wójcik podpowiada Arabom, jak przeprowadzić wzorcową rewolucję
- 14 W Polsce jęka się pół miliona ludzi. Skąd się bierze ta przypadłość i jak można ją leczyć, pisze Małgorzata Świąchowicz
- 17 Stary człowiek i może. Domy publiczne dostosowują się do potrzeb doświadczonych wiekiem klientów i zachęcają emerytów do korzystania z uciech życia. Zainteresował się tym Rafał Kostrzyński
- 18 Zygmunt Chajzer stracił twarz, występując w reklamie oszukańczych konkursów SMS-owych. Jak celebryci w pogoni za kasą tracą klasę, czytaj w tekście Donata Szyllera
- 20 Wiara w cuda czynione przez płaczące obrazy ściągnęła do Terespoła tłumy pielgrzymów. Anna Szulc pisze, jak smutna Madonna jednoczy katolików i prawosławnych
- 22 Krótko

ROZMOWA PRZEKROJU

- 24 Zostałem w tę historię wplątany prywatnie i zawodowo. Antoni Krauze opowiada Robertowi Mazurkowi o kulisach powstawania filmu „Czarny czwartek”

OD AUTORÓW



Małgorzata Świąchowicz
Przepraszam, zwykle nie robię tak groźnej miny. Naprawdę nie chciałam nikogo przestraszyć – od tego można zacząć się jękać. I choć z tego powodu udaje się nawet dostać grupę inwalidzką, to niestety nic ponad to. O tym, jak ludzie, którzy boją się odezwać, dramatycznie szukają pomocy, a inni szukają okazji do zarobku, na s. 14.

Urszula Dąbrowska
Jak każdy mam kilka hipotez, co robić, by żyć długo i szczęśliwie. W tej sprawie jednak nie ufam intuicji. W końcu teoretyków szczęścia jest na pęczki – z praktyką radzi sobie niewielu. Dlatego sprawdziłam, co na ten temat ma do powiedzenia nauka. I odetchnęłam z ulgą. Nie bez wysiłku, ale każdy jest w stanie szczęście osiągnąć. Jak? Podpowiedzi na s. 28.

Jacek Tomczuk
Nigdy nie robiliśmy więcej zdjęć, niż teraz cykamy aparatami, telefonami, kamerami. Ile z nich trafia na papier? Promil. Ale paradoksalnie digitalizacja fotografii wzmacnia wartość odbitki jako czegoś ekskluzywnego, wyjątkowego. Rozmawiałem z dziesiątkami osób, które wierzą, że fotografie to takie same dzieła sztuki jak malarstwo czy rzeźba. Jak dziś kolekcjonuje się zdjęcia i dlaczego warto się pośpieszyć, czytaj na s. 38.

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 28 Jak żyć dobrze i szczęśliwie? Odpowiedzi szukają Urszula Dąbrowska, Piotr Stanisławski i Milena Rachid Chehab. Mamy nadzieję, że efekt ich pracy was uszczęśliwi

KONIEC Z KULTURĄ

- 38 Kolekcjonowanie fotografii jest trendy. Nie czekajcie, tylko kupujcie! Zachęca Jacek Tomczuk
- 42 Do wtargnięcia do polityki namawia muzyków Jarek Szubrycht
- 44 Portret reżysera Jana Komasy w facebookowym stylu kreśli Ola Salwa
- 46 Lektura: Agnieszka Holland nie chce być ministrem kultury. Dlaczego? Tego usiłuje się dowiedzieć Karolina Pasternak

OTWÓRZ OCZY

- 50 Korei życie powszednie. Lepiej czytać i patrzeć na zdjęcia, niż oglądać to na miejscu

RECENZJE

- 56 Film: Sadowska chwali Saramonowicza
- 57 Muzyka: Winczewski o duecie Gil Scott-Heron i Jamie xx
- 58 Książki: Nyczek czyta naraz Styrona, Orwella i Tyrmanda
- 59 Teatr: Wakar bardzo krytycznie o „Komediancie”
- 60 Sztuka: Szablowski o perłach polskiego wzornictwa
- 61 Stopklatka

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
 - 62 Rozmaitości z krzyżówką i jolką, Obyczajówka Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
 - 66 Dziennik Jerzego Pilcha
- 3, 22, 67 Raczkowski



Ilustracja na okładce: Kasper Skirgajłło-Krajewski na podstawie zdjęć Maciej Zielenkiewicz/AG, Bartosz Bobkowski/AG, Bogdan-krezel.com, Krzysztof Jastrzębski/East News

PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alifor Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl



ADRES REDAKCJI:

ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, tel. 22 525 99 33, faks: 22 525 99 88, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:

Katarzyna Janowska

ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:

Marek Zajac

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:

Kasper Skirgajłło-Krajewski

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Gędziorowska, Piotr Witke

SEKRETARIAT:

Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM:

wydarzenia@przekroj.pl, Paweł Wieczorek (szef), Łukasz Wójcik (zastępca szefa), Agnieszka Fiedorowicz

Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński, Anna Szulc, Donat Szyller, Małgorzata Świąchowicz, Joanna Woźniczko-Czerzot, stale współpracuje Agnieszka Janowska

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:

nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab, Olaf Szewczyk; stale współpracuje: Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska, Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:

kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk, stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak, Sebastian Frackiewicz, Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sierota, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:

rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyński, stale współpracuje Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Władysław Buchner (wicedyrektor), Agnieszka Kwiatkowska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

FOTODYKTA:

foto@przekroj.pl, Marcin Kąglica (szef), Marek Szczepański; stale współpracuje: Anna Bajorek

KOREKTA:

Dorota Dul, Tatiana Hardej

PROJEKT GRAFICZNY:

Kasper Skirgajłło-Krajewski

STRONA INTERNETOWA:

Marcin Cichoński

ARCHIWUM:

Dominika Bok

OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:

Andrzej Tchórzewski

GRUPA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.

ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, tel. 22 525 99 55, faks: 22 525 99 88

WYDAWCA:

Grzegorz Hajdarowicz

PREZES WYDAWNICTWA:

Jan Godłowski

DYREKTOR WYDAWNICTWA:

Sławomir Mokrzycki

DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:

Artur Rumiński

PROMOCJA I MARKETING:

promocja@przekroj.pl, Agata Stremecka (szef), Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY:

reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16, Agnieszka Pawelec tel. 22 525 99 15, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:

Elżbieta Maciążek

DRUK:

RR Donnelley

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

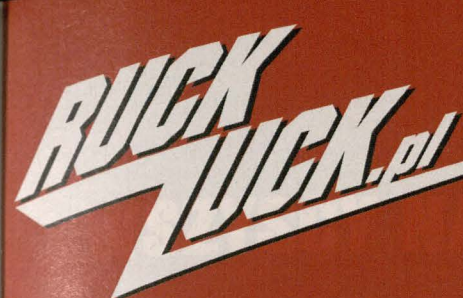
MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA

MAŁA KONTROLA



PODŁOGI I DRZWI

Szukasz czegoś konkretnego?

Zajrzyj do RuckZuck

Ponad 100 punktów partnerskich w całym kraju



- PANELE PODŁOGOWE
- DRZWI WEWNĘTRZNE
- PODŁOGI DREWNIANE
- AKCESORIA

Ponadto fachowa obsługa, transport towaru oraz profesjonalny montaż. To wszystko znajdziesz w salonach RuckZuck w całym kraju.

pełna lista sklepów na www.ruckzuck.pl



ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA
REDAKTOR NACZELNA

Zwykły dzień

Niech mnie pani nie pyta o szczęście – powtarzała filozof profesor Barbara Skarga, moja mistrzyni, której jedna z książek nosi tytuł „Człowiek to nie jest piękne zwierzę”. Mimo to podczas różnych spotkań drażyliśmy temat. Skarga mawiała wtedy: bo niby co to jest szczęście? Nagroda? Kto miałby nagradzać i za co? A może to tylko ślepy traf? Zresztą czy człowiek jest stworzony do szczęścia? Zawsze mnie denerwuje, gdy jakaś matka mówi o swoim synu: tak bym chciała, żeby był szczęśliwy, zamiast powiedzieć: a niech on będzie porządnym i uczciwym człowiekiem. I co? Potem jest tylko wielkie rozczarowanie, bo to szczęście nie przychodzi. Nie należy się nastawiać, że w życiu trzeba być koniecznie szczęśliwym. Może pojawi się taki moment, że pocujemy się szczęśliwi, ale to nie może stać się celem życia, bo równie dobrze taka chwila może się nie przydarzyć. A nawet kiedy się trafia, najczęściej nie zdajemy sobie z tego sprawy.

...

Zdążyłam na pociąg w ostatniej chwili. Korki były większe niż zazwyczaj. Ekspres 7.15 Kraków-Warszawa wjechał na Dworzec Centralny punktualnie. Całe szczęście. O 11 zaczynam nagranie programu z Wojciechem Kilarzem. Makijaż, kawa z bohaterem i kamery start. Rozmowa o muzyce, życiu, miłości do żony, zapachach i barwach Paryża – mieście, w którym Kilarowie lubili spędzać wakacje. Rozmowa płynie z humorem, żadnej wymuszonej pozy, nadymania się. Na pytanie o natchnienie rozbawiony kompozytor odpowiada: najlepiej opisał to Mroźek. Coś mnie zaszło od tyłu.

Nie wiem, kiedy minęły trzy godziny. Znowu pędem na dworzec, metrem, bo szybciej. Wbiegam na peron w momencie, gdy konduktor zaczyna gwizdać. Dojeżdżam do Krakowa. W upalnym wrześnieym słońcu czuję rozwibrowanie nadciągającej jesieni. Do domu spacerem przez gwarny rynek. Wszystkie stoliki na płycie zajęte. Życie pokazuje moc. Wszystko mi się dziś udało. Wieczorem jem z synem kolację na tarasie. Jest ciepło jak w sierpniu. Czemu właściwie tak dokładnie pamiętam ten dzień sprzed sześciu czy siedmiu lat?

...

Kiedyś podeszłam Barbarę Skargę pytaniem, czy pamięta, kiedy czuła się szczęśliwa. O dziwo, nie obruszyła się. Po chwili namysłu powiedziała: – Pewnego lipcowego dnia w Chocieńczech, gdzie przed wojną co roku spędzałam wakacje, ale wtedy nie wiedziałam, że to jest szczęście.

...

Publikujemy w tym numerze raport o szczęściu. Po co? By umieć je dostrzec, jeśli komuś z nas się przydarzy.



ORBITA PRZEKROJU

AGNIESZKA GRAFF

Jakoś to będzie?

Minister Boni wyjaśnił nam, że nie tracimy na przeniesienie części składki z OFE do ZUS, bo tam będą subkonta, w dodatku waloryzowane „według średniego nominalnego wzrostu PKB z ubiegłych pięciu lat”. Kiedy coś takiego słyszę, robi mi się szaro przed oczami. Podobnie czułam się na matematyce w liceum. Nie znam się na różniczkach ani subkontach i trochę mi z tego powodu łyso, więc z tego wstydu odpuszczam sprawę. Niech już eksperci robią, co chcą. Niech Boni to sobie sam policzy. Chyba o to właśnie rządowi chodziło – żebyśmy odpuścili. Żebyśmy przestali liczyć. Dlatego o reformie reformy nie było debaty publicznej, a rządowi eksperci mówią do nas rzadko i głównie po chińsku. Po polsku gorzej by zabrzmiało. Mniej więcej tak: Kochani, mamy dziurę w budżecie, zróbcie zrzutę, dobra? A zresztą spoko, sami sobie weźmiemy z tego, co niby miało być na wasze emerytury. Ale nie martwcie się, młodzi jesteście, macie czas, jakoś to będzie.

Nie jestem fanką OFE. Faktycznie PTE poszalały sobie z opłatami, a zyski miały marne. Jednak przy wszystkich swoich wadach OFE są częścią pewnej umowy społecznej. Tej sprzed 11 lat, która miała działać przez kolejne dekady. Ta umowa miała sens. Różnica między pieniędzmi odkładanymi w ZUS a tymi w OFE to różnica pokoleniowa. W ZUS jest kasa do wydania od zaraz, a w OFE każdy ma swoje i odkłada na zaś. Brutalnie rzecz ujmując: im kto starszy, tym mniej mu na OFE zależy. Przekładając kasę z jednej kupki na drugą, rząd robi numer milionom ludzi, którzy o emeryturach jeszcze nie myślą. A chyba powinni to robić.

Reforma ta odbywa się zamiast reform sensowniejszych, ale politycy nie niebezpiecznych. Takich, które z daleka pachną tłącą się oponą. Przyszły emeryt to mało realny podmiot roszczeń. Jest rozproszony a o swojej przyszłości myśli, że „jakoś to będzie”. Dużo bardziej realny i groźny jest górnik czy emeryt mundurowy, który na młodzieńczej emeryturę idzie za chwilę, bo mu to obiecano. Ci ludzie swoich przywilejów strzegą jak Kmicic Jasnej Góry, a rolnicy KRUS. Tusk ma dziurę w budżecie, więc wysupłał zaskórniaka. Szkoda tylko, że nie swojego, tylko mojego. Bo mimo młodzieńczej urody premier jest ode mnie sporo starszy. Jego pokolenie się załapie, z moim będzie krucho, a już obecni studenci zostaną zupełnie na lodzie. Za 40-50 lat zatęsknimy za roztrwonionym zaskórniakiem. Założymy partię emerytów i rencistów i wyjdziemy na ulice palić opony. Znajdziemy sobie nowego Leppera, wygramy wybory i sami sobie weźmiemy, co nam się należy, robiąc w bambuko kolejne pokolenia. Jakoś to będzie.

Autorka jest pisarką i publicystką, członkinią zespołu „Krytyki Politycznej”. Jej najnowsza książka nosi tytuł „Magma”

WSZYSCY NA ZIEMI JUŻ TO WIEDZĄ



LANCIA YPSILON – ZWINNA I EKONOMICZNA, IDEALNA DO JAZDY PO MIEŚCIE, JUŻ OD 43 900 zł.*

LANCIA MUSA – MIEJSKA LIMUZyna, ZAPEWNIĄ DOSKONAŁY KOMFORT JAZDY ZARÓWNO W MIEŚCIE, JAK I PODCZAS DŁUGICH PODRÓŻY, JUŻ OD 53 900 zł.*

LANCIA DELTA – KOMFORTOWY I RODZINNY HATCHBACK, ŁĄCZĄCY WYJĄTKOWY DESIGN Z ZAAWANSOWANĄ TECHNOLOGIĄ, JUŻ OD 69 990 zł.*

*Cena dotyczy modeli: Lancia Ypsilon dla wersji Argento 1.2 69 KM, emisja CO₂ – 114 g/km, średnie zużycie paliwa – 4,9 l/100 km; Lancia Musa dla wersji Argento 1.4 95 KM, emisja CO₂ – 140 g/km, średnie zużycie paliwa – 6,0 l/100 km; Lancia Delta dla wersji Argento 1.4 120 KM, emisja CO₂ – 146 g/km, średnie zużycie paliwa – 6,3 l/100 km.



Lancia.pl



Kulturalnie polecamy



Fot. Güreks Film

Czy Anette Bening (pierwsza z lewej) za rolę we „Wszystko w porządku” dostanie Oscara? Przekonamy się 27 lutego. Wcześniej obejrzymy film **PODZAS KRAKOWSKICH BARANTYNEK**

WTOREK 8 LUTEGO

Dar serca?

Od 2005 roku Christian Boltanski (jeden z najpopularniejszych artystów francuskich) zaprasza do galerii gości, aby nagrać... ich bicie serca. Zbiory wciąż rosnącej biblioteki dźwiękowej – Les Archives du Coeur (Archiwum serc) – tworzą zapisy pracy serca między innymi paryżan, londyńczyków, mediolańczyków. Warszawiacy mogą powiększyć tę liczącą już ponad 30 tysięcy nagrań kolekcję. O ile mają serca otwarte na współczesną sztukę!

Warszawa, do 20 marca, CSW Zamek Ujazdowski

ŚRODA 9 LUTEGO

Kino na peryferiach

Ta impreza odczarowuje pojęcie prowincji. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Filmowej Prowincjonalia udowodnia, że na obrzeżach toczy się intensywne artystyczne życie. Na otwarcie przeglądu oparty na faktach (samosąd we Włodawie) debiut Krzysztofa Łukaszewicza „Lincz” uznany za najlepszy film podczas Koszalińskiego Festiwalu Młodzi i Film. W programie również retrospektywa Janusza Majewskiego oraz cykl „Prowincje świata – Ekologia duszy” z filmami między innymi z Finlandii, Meksyku i Hiszpanii. Planowanych jest wiele pokazów przedpremierowych (wśród nich „Ewa” Adama Sikory i Ingmara Villqista).

Września, do 12 lutego, więcej na www.prowincjonalia.com.pl

CZWARTEK 10 LUTEGO

Schubert na nowo odkryty

„Podróż zimowa” w Operze Krakowskiej przynosi spotkanie muzyki Franciszka Schuberta z poetą Stanisławem Barańczakiem. Kompozytor napisał 24 pieśni z cyklu „Winterreise” („Podróż zimowa”) do liryków niemieckiego romantyka Wilhelma Müllera. Polski poeta napisał zbiór własnych wierszy nimi inspirowany. Usłyszymy je w wykonaniu znakomitego barytona Andrzeja Bieguna w spektaklu Józefa Opalskiego. Jedyna okazja, by poznać zapomniane arcydzieło Schuberta w odświeżonej, choć zgodnej z literą oryginalu wersji.

Kraków, Opera Krakowska, godzina 18.30

Co z tą miłością?

Kampania przeciw Homofobii przypomina, że wszyscy mają „Równe prawa do miłości”. W programie piątej edycji festiwalu znajdują się: pokazna liczba debat (między innymi o warszawskiej kulturze queer posłuchacie podczas panelu „Od pikiet do Europride”), pokaz mody, wystawy oraz projekcje filmów, w których tematyka LGBT przewija się w formie przebojowych piosenek (między innymi „Were the World Mine” Thomasa Gustafsona). Niech was nie zabraknie na imprezie tematycznej „Rocky Horror Show” w Och-Teatrze zapowiadającej nowy muzyczny spektakl oraz na sobotnim wystawnym... Balu Kotylionowym w Nowym Wspaniałym Świecie.

Warszawa, do 15 lutego, różne miejsca, więcej na www.festiwal.kph.org.pl

PIĄTEK 11 LUTEGO

Inauguracja tygodnia

Oficjalne otwarcie stołecznego klubu Ósmy Dzień Tygodnia będzie świetne, bo uświetni je sam DJ Vadim. Gwiazdorowi wytwórni Ninja Tune i najsympatyczniejszemu rosyjskiemu didżejowi (nagrodę nazywa się Andriej Gurów) towarzyszyć będzie ekscentryczna wokalistka i raperka Yarah Brat ratując nas od gapienia się na zastępy pokreślenia i efektów.

Warszawa, Ósmy Dzień Tygodnia, godzina 20.00

Opór jest cool?

Różne formy oporu, także politycznego, w sztuce współczesnej będzie badać wystawa „Why do we resist? Forms of resistance in contemporary art”. Podczas ekspozycji zobaczycie prace Akademii Sztuki, Zbinka Baladrána, Thomasa Gallera i Jiříego Kovandy. Oni sprzeciw i bunt mają w krwi, więc i wy nie stawiajcie oporu!

Białystok, do 6 marca, Galeria Arsenał

SOBOTA 12 LUTEGO

Didżej niewiadomy

Laureaci ubiegłorocznej nagrody Mercury – brytyjska grupa The xx – wprawiła w zdumienie także redakcję „Przekroju” (odsłaliśmy do naszego zebra wienia płytowego za 2009 rok). Jamie xx – czyli Jamie Smith – to jedna trzecia grupy i zarazem główny twórca jej brzmienia. W Polsce zadebiutował jednak w roli didżeja, prezentując w warszawskim klubie 1500 m² swój autorski set. My liczymy na to, że Jamie xx pochwali się owocami spotkania z Gilem Scottem-Heronem – ich wspólną płytę chwalimy w tym numerze.

Warszawa, 1500 m², godzina 22.00

Kulisy sztuki...

...podejrzenie na wystawie „Backstage” Karola Radziszewskiego. Prace zdobywcy Paszportu „Polityki” mogliście oglądać już na wystawach zbiorowych „Trwa generowanie podgląd” w Muzeum Sztuki w Łodzi czy „Ars homo erot” w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jego prace skupiają się na pokazywaniu zaplecza warszawskich artystów, jego relacji z modelkami, przestrzeniami (zobaczcie chociażby fotografie dokumentujące plany zdjęciowe różnych jego projektów). Zagląwanie za kulisy jeszcze nigdy nie było tak łatwe.

Kraków, do 3 kwietnia, Bunkier Sztuki

Barany miłości

Kochacie kino? Jeśli tak, wybierzcie się na Barantynki, czyli nocny maraton filmowy, podczas którego zobaczycie przedpremierowy pokaz niegroźnego dwoma Złotymi Globami filmu Lisa Cholodenko „Wszystko w porządku”. Z miłości do kina i Sama Mendesa (tego od „American

Beauty” i „Drogi do szczęścia”) obejrzyjcie również pozytywnie zakreconą komedię „Para na życie” (nie mylić z „Parą do życia” o fińskich saunach).

Kraków, Kino pod Baranami, godzina 19.30, więcej na www.kinopodbaranami.pl

NIEDZIELA 13 LUTEGO

Podarunek od Szymborskiej

Zawsze warto pomagać potrzebującym, ale tym bardziej jeśli w ten sposób można zdobyć wyjątkowe rzeczy. A tylko takie pojawiają się na aukcji „przedmiotów na szczęście” ofiarowanych między innymi przez Wisławę Szymborską, Annę Polony, Jerzego Tręłę i Krzysztofa Globisza. Aukcja jest częścią koncertu organizowanego przez fundację Anny Dymnej Mimo Wszystko wraz z krakowską filharmonią. Wystąpi w nim między innymi zespół Motion Trio, a krakowscy aktorzy przeczytają najpiękniejsze wiersze o miłości. Dochód zostanie przeznaczony na pomoc ciężko chorującym artystkom. Trzeba tam być!

Kraków, Filharmonia imienia Karola Szymanowskiego, godzina 17.00

PONIEDZIAŁEK 14 LUTEGO

Sztuka zwierzęca...

...konsumpcyjna i postkonsumpcyjna. Prace z tych serii (nie tylko) zobaczycie na wystawie „Opera omnia” prezentującej twórczość Natalii LL. Jest to przedstawicielka body artu, choć nigdy w samo ciele nie ingerowała, nie poddawała go artystycznym eksperymentom. Za to uczyniła się modelką wszystkich swych fotografii. Zaręczamy, że „Miękkość w dotyku” gwarantowana.

Wrocław, do 3 maja, Muzeum Narodowe

Na kanapie

Cecylia „Brzwołaz” Malik, krakowska artystka, przez rok (od 25 września 2009) codziennie wspinała się na jedno, każdego dnia inne, drzewo. Fotografie dokumentujące akcję zostały zebrane w album „365 drzew” i opatrzone tekstami entuzjastów, choćby pisarki Sylwii Chutnik i dziennikarza Adama Wajraka. Znajdziecie tu różne interpreta-

cje akcji zainspirowanej „Baronem Drzewołazem” Calvina: od motywów ekologicznych po przygodowe. Cecylia nie lubi siedzieć na kanapie, ale wy z tym albumem w ręce czujcie się rozgrzeszeni.

Cecylia Malik „365 drzew”, Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana, Warszawa 2011

SPROSTOWANIE: W „Przekroju” (nr 3/2011) zabrakło informacji o tym, że autorami teledysku, z którego kadr ilustrował artykuł Marcina Flinta „Jadziem z tą elektryką”, są Krzysztof Skonieczny i Marcin Starzecki. Serdecznie przepraszamy.

Era Niecika

Grajewo w charakterze rajskiego ogrodu



LUKASZ ORBITOWSKI

W latach 90. „Disco Relax” był grzeszną przyjemnością wszystkich, bo i wszyscy Polacy to jedna rodzina. Współprowadząca program Małgosia rozgrzewała zmysły, dzierząc cyconosz polskiej Pamelii. Oprócz nurtu wiejskiego popularność zyskali kabareciarze i muzycy kojarzeni dotąd z innymi dźwiękami. Polska mutacja disco na wzór noclegowni przygarnęła tych, którzy mimo wcześniejszych sukcesów zagubili się w show-biznesie. Grał Smoleń, Janusz Laskowski zyskał ksywę „Złotowa”, a Krawczyk przearanżował stare hity.

To już nie wróci. Krawczyk śpiewa jak nikt, Laskowski przepadł, a Bayer Full i Boysi nie potrzebują już żadnej telewizji. Co będzie? Szanuj disco polo niczym sługa dobrotliwego pana – powszechnie wysmiewani wykonawcy zaproponowali coś swojskiego wtedy, gdy inni rznęli z najpodlejszych zachodnich wzorców, i to tak, że na majteczkach kropeczki się pościerały.

Dzisiejsze disco polo ma szczerze lico Tomasza Niecika. Niecik ujawnił się dwa lata temu płytą „Kawalerskie życie” i zaraz podbił serca serią radosnych wideoklipów. Krótki przegląd komentarzy wystarczy, by sądzić, że sam jeden jest całym „Disco Relaxem” z Małgosią włącznie. Teledysk do „Czterech osiemnastek” mający z założenia uzupełniać treści zawarte w tekście tu zyskuje rolę krytycznego komentarza. W tekście dziewczyny te artycha wozi samocho-

dem, czemu obraz przeczy. Cztery osiemnastki owszem ubarwiają przestrzeń podziemnego parkingu, lecz furą okazuje się bolid, w którym ledwo mieści się sam Niecik. Tekst „Kawalerów” wyraża pochwałę egzystencji bez zobowiązań, będąc hymnem na cześć wolności. Wokalista i tancerze występują jednak w strojach boyów hotelowych (stylizowanych tylko na głowe mundury) – służdy to zatem wbici w kajdany obowiązków i pewnie źle opłaceni.

Dla odmiany tekst „Grajewa” wykorzystuje skojarzenia słowne. Nazwę rodzinnego miasta artysta łączy nie tylko z graniem, ale i z biblijnym rajem. Zabieg ten hołubi lokalny patriotyzm, sytuując małe i średnie miejscowości wysoko w porządku eschatologicznym. Do tego utwór pełni funkcję uzupełniającą względem Księgi Rodzaju. Tam, gdzie autor natchniony operuje niedopowiedzeniem, Niecik stawia na konkret, sugerując, że praojciec Adam „wyjął instrument i krzyknął: »Graj, Ewo!«”. Pochodzenie Grajewa jest więc erotyczne i starotestamentowe zarazem. W teledysku treści budujące mieszają się z wizualizacjami broni palnej i walk bokserskich, lecz i sam Niecik jest pełen sprzeczności. Najczęściej zdradza nieodparte ciśnienie na dobrą zabawę przejawiającą się intensywną rotacją partnerek, by – jak w „Szubi dubi” – ujawnić jednak tęsknotę za tą jedyną.

Niecik, zwany również „artystą wielowymiarowym”, ma energię bomby atomowej i choć większości jego wymiarów wolałbym nie poznać, to kibicuję mu z całą życzliwością człowieka ogłuszonego. Krytykę znosi życzliwie, w telewizji pojawia się uchachany po kokardki, dziewczyny w klipach ma ładniejsze niż inni, ofiarnej też płasają. Wreszcie sam śpiewak bez żenady twierdzi, że nowa era rozpoczęła się wraz z jego fałszowaniem. Era Wodnika Erą Niecika, niech będzie i tak, a ponieważ disco polo uwielbiają wszyscy, wojnę polsko-polską, przynajmniej na czas koncertu, zawiesi on właśnie, cytując Niecikowi Niecika: „No, do roboty, chłopie!”



Pięć kroków do rewolucji

Przede wszystkim trzeba wiedzieć, kto walczy z kim (lub czym) i o co. Dopiero wtedy będziecie mogli ocenić, co jest, a co nie jest prawdziwą rewolucją. I czy są nią ostatnie zamieszki w Egipcie

ŁUKASZ WÓJCIK



Oznaki religijności – broda i takija na głowie. Czy islam powiedzie Egipcjan na barykady? Religijne organizacje wciąż nie chcą przejąć inicjatywy w Kairze

o dzieci łącznie. Czołgi na ulicach. I kolumna wojskowa zmierzająca w kierunku kairskiej siedziby głowy państwa. W telewizji Anwar Sadat, przyszły prezydent, przemawia do narodu. Gdy Wolni Oficerowie wkraczają do pałacu, ten, którego szukają, jest już w swojej nadmorskiej

W pałacach prezydenckich na Bliskim Wschodzie zapewne już padło pytanie: czy to, co się dzieje w Egipcie, zakończy się prawdziwą rewolucją? Jeśli tak, to kilku rezydentów tych pałaców powinno już grzać silniki swoich odrzutowców. Tylko jak odróżnić zwykły bunt od prawdziwej rewolucji?

z jednego żołdu utrzymuje się kilkunastoosobowa rodzina, w której nikt inny nie pracuje. Dlatego może i żołnierze nie będą umierać za Mubaraka, ale „systemu władzy” nie pozwolą tknąć. Wymieni się jedynie kierownika.

Inna definicja rewolucji, autorstwa amerykańskiego historyka Martina Malii, skupia się na rezultatach: czy wydarzenie podejrzewane o rewolucyjność pozostawiło po sobie jakieś trwałe instytucje? Jedyną współczesną rewolucją, która spełnia wymóg Martina Malii, jest ta irańska z 1979 roku – ajatollahowie postawili na głowie całe państwo, a rewolucyjne instytucje wtedy założone działają do dziś.

W Egipcie tymczasem oczekiwania są na razie niewielkie. Będzie dobrze, jeśli demonstrujący obywatele wymuszą na władzy dotrzymanie obietnicy wprowadzenia instytucji wolnych wyborów – test już we wrześniu.

Z rewolucją jest więc ten problem, że co historyk, to inna definicja. Najczęściej jednak wymienianych jest pięć elementów niezbędnych do zrobienia tej prawdziwej. Czy dziś są one widoczne w Egipcie?



„Wolność wiedząca lud na barykady” – prawdziwa rewolucja według Eugène’a Delacroix

W końcu król Faruk abdykuje i odpływa do Włoch. W lipcu 1953 roku Egipt zostaje republiką. Dopełnia się najważniejsza arabska rewolucja XX wieku. Ten wywrotowy powiew wkrótce zmiecie z powierzchni ziemi resztki kolonializmu od Atlantyku po rzekę Tygrys, a Arabów napelni dumą, jakiej nie pamiętali od czasów kalifów.

58 lat później na ulicach Kairu trwa bitwa z udziałem samozwańczej kawalerii na wielbłądach. Plac Tahrir w centrum miasta przechodzi z rąk do rąk. Po jednej jego stronie młodzież krzyczy: „Precz z Hosnim Mubarakiem”. Po drugiej wiszą plakaty z wizerunkiem prezydenta. A przed telewizorami cały świat ogląda Al-Dżazirę. Reporter stacji przekrzykuje tłum: „To rewolucja!”. Jakby to on decydował.

Alexis de Tocqueville w książce „Dawny ustrój i rewolucja” twierdzi, że są dwa warunki prawdziwej rewolucji: załamanie się starego systemu władzy oraz przejście władzy przez zupełnie nowy ośrodek. Gdyby więc Tocqueville trafił dziś do Egiptu, nie zauważyłby żadnej rewolucji. Nie ma tam bowiem jakichkolwiek szans na załamanie się systemu. Bo władza to armia. Jak w wielu państwach arabskich to jedyna instytucja, która działa. Takie państwo w państwie – żołnierze mają osobny transport, ośrodki wypoczynkowe, służbę zdrowia. – Od obalenia monarchii w 1953 roku każdy kolejny prezydent Egiptu wywodził się z armii, a żołnierz w rodzinie to skarb – wyjaśnia Rami Khouri, palestyński dziennikarz. – Zdarza się na prowincji, że

1. Baza – jest jej aż nadto

Trudno znaleźć dziś bardziej zdesperowane społeczeństwo na świecie – egipska dumą narodowa zderza się codziennie z gospodarczą i społeczną beznadzieją. Znad Nilu pochodzi rozpowszechnione już w całym świecie arabskim słowo *hittistes*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „tych, co stoją pod murem”. To główne zajęcie niemal połowy Egipcjan przed trzydziestką, którzy pod murem stoją i całymi dniami czekają, aż ktoś zgarnie ich do dorywczej pracy.

Według instytutu Population Action International w latach 1970–1999 80 procent konfliktów wybuchło w krajach, w których ponad połowę społeczeństwa stanowili ludzie poniżej 30. roku życia. Egipt już dawno jest w tej grupie. Na dodatek w świecie arabskim człowiek nie istnieje bez rodziny, ale jej założenie jest coraz droższe. Na egipskiej prowincji posag, który musi wnieść rodzina pana młodego, to równowartość →

→ dwuipółletnich dochodów przeciętnej rodziny. W ubiegłym tygodniu kairski plac Tahrir musiał być pełny takich zdesperowanych starych kawalerów, którzy mają niewiele do stracenia.

2. Nadbudowa – element w Egipcie deficytowy

By doszło do prawdziwej zmiany, buntem trzeba pokierować. Żadna rewolucja nie obejdzie się bez odwołania się do sił nadprzyrodzonych lub abstrakcyjnych idei. Niemiecka filozofka polityczna Hannah Arendt w książce „O rewolucji” twierdzi, że tylko abstrakcyjna idea wywołuje poziom entuzjazmu potrzebny do wybuchu społecznego. Najpierw były to hasła religijnej odnowy. Z czasem pojawiły się idee oświeceniowe.

Abstrakcję skutecznie wykorzystał w czasie pomarańczowej rewolucji na Ukrainie w 2004 roku Wiktor Juszczenko, w ciągu dwóch tygodni montując przeciw Leonidowi Kuczynie i Wiktorowi Janukowyczowi szeroką koalicję, której jedynym spoiwem była idea Ukrainy jako państwa zachodniego. Demonstrujący w centrum Kijowa nagle poczuli się Europejczykami, a zachodni politycy, którzy przyjechali na Ukrainę, dodatkowo podkreśliли emocje, obiecując naszym sąsiadom członkostwo w Unii Europejskiej.

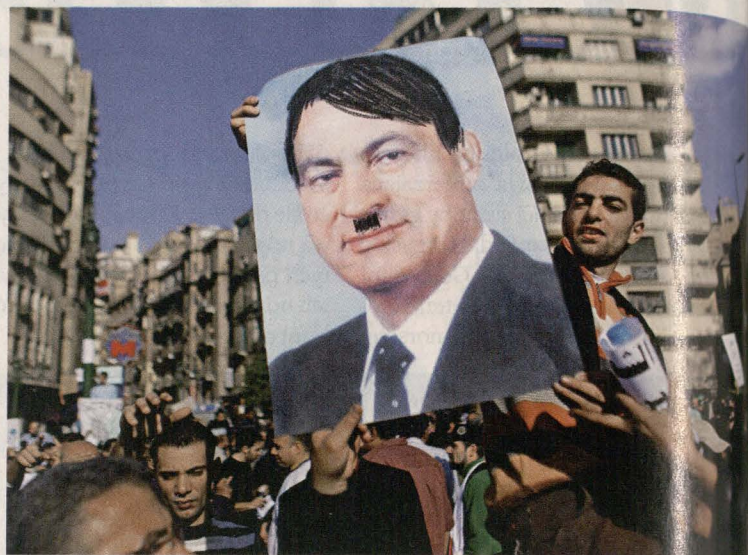
Egipskie nadzieje rewolucyjne wypadają znacznie gorzej. Naserowska ideologia panarabizmu, rozmięta na drobne przez 30 lat rządów prezydenta Mubaraka, wzbudza dziś emocje jedynie wśród garstki zapaleńców. Naturalną nadbudową dla egipskiej rewolucji powinien być islam, ale jedyna organizacja islamska, która mogłaby zmobilizować tłumy – Bractwo Muzułmańskie – została siłą wypchnięta z polityki. Dziś jest raczej fundacją samopomocową niż ruchem rewolucyjnym, którym była w latach 60. pod kierownictwem Saïda Kutba.

Na czele rewolucyjnej nadbudowy musi też stać charyzmatyczny lider, a egipskie Bractwo Muzułmańskie przeżywa w tej dziedzinie głęboki i chroniczny kryzys. Do tego stopnia, że dziś twarzą egipskiej opozycji jest Muhammad el-Baradei, były szef Międzynarodowej Agencji Atomistycznej, fan opery i golfa, który nie ma żadnej bazy politycznej w kraju, bo wyjechał z niego na stałe ponad 20 lat temu. Od kairskich demonstrantów oddziela go nawet język – klasyczny, literacki i niezrozumiały dla świeżo przybyłych z egipskiej prowincji.

Jak wielką rolę w rewolucji może odegrać lider, pokazały wydarzenia 1978 i 1979 roku w Iranie. Gdyby nie ajatollah Chomeini, to wyrazisty, niemniej marginalny ruch radykal-

nych szyitów utonąłby w potoku grup walczących o władzę, którą uciekający z kraju szach zostawił na ulicy. Gdy w styczniu 1979 roku po powrocie z Francji Chomeini przemawiał do setek tysięcy teherańczyków, według rela-

Podstawowa zasada więc to rewolucja na cierpliwość. Korzystając z politycznego chaosu, nawet niewiele znacząca pierwotnie grupa może przejąć rewolucję. Liczy wycucie chwili. O władzę po irańskim



Dla jednych jest tyranem, dla drugich „tata”. Mubarak ogłosił, że we wrześniu odchodzi

cji świadków słychać było tylko łopot gołębic skrzydeł. Urok ajatollaha uwiódł nawet irańskich intelektualistów, tak odległych od radykalnego szyizmu jak Salman Rushdie.

3. Cierpliwość – to nad Nilem wciąż niewiadoma

Rewolucja, która od początku ujawnia swoje cele, ma małe szanse na sukces. Wspomniany już amerykański historyk Malia twierdzi, że każda rewolta ma trzy fazy: umiarkowaną, radykalną i znów umiarkowaną.

Wszystkie najważniejsze rewolucje zaczęły się od skromnych haseł. W XV wieku mało znany kaznodzieja Jan Hus domagał się jedynie, aby komunie świętą podawano w dwóch postaciach (chleb i wino), a skończyło się to pierwszą prawdziwą rewolucją w historii – Czesi na długo przed nami mieli monarchię elekcyjną z prawdziwego zdarzenia.

Polskie porozumienia sierpniowe z 1980 roku dotyczyły tylko utworzenia samorządnych związków zawodowych, ograniczenia cenzury i przywrócenia do pracy kilku osób. Dziewięć lat później skończyło się to bezkrwawą rewolucją, która zapoczątkowała upadek całego bloku wschodniego.

Egipcjanie dziś domagają się jednego – ustąpienia Mubaraka. – Często rewolucje wyprzedzają ideę. Łatwiej krzyknąć: „Chcemy czyjeś głowy”, niż wykuć spójny program protestu – mówi „Przekrojowi” Aleksander Hall, polityk i historyk zajmujący się dziejami rewolucji.

chu biło się kilkanaście ugrupowań – od komunistów po ajatollahów. Chomeini ponad rok cierpliwie czekał na odpowiedni moment. I zgarnął wszystko. Do dziś w dług irańskich podręczników do historii najnowszej rewolucję 1979 roku Chomeini od początku do końca przeprowadził niemal wyłącznie własnoręcznie.

Egipt jest dziś gdzieś między rewolucją rewolucyjną a październikową. Baza się zbuntowała a nadbudowa kombinuje, jak opanować siłą i z korzyścią dla siebie. – Demonstranci magający się ustąpienia Mubaraka nie mówią dziś ani przywództwa, ani wizji przyszłości – tłumaczy „Przekrojowi” Rami Khouri. – To może się zmienić z dnia na dzień. Ci ludzie na ulicach są zagubieni. Potrzebują przewodnika. Potrzebują idei. Kto wie, czy nie zdarzy się jakiś egipski Chomeini, który ukręci rewolucję.

4. Wróg – niby Mubarak, ale...

Bez wroga ani rusz. Każda rewolucja musi mieć swojego. Najlepiej króla, cara zamkniętą dyktando – władzę, która jest brutalna, absolutna i najlepiej jeszcze heretycka. Im więcej wrogów w tych dziedzinach mocniejsza, tym łatwiej pójdzie z rewolucją. Jeśli nie ma wroga osobowego, trzeba wskazać zbiorowego.

Dla Egipcjan wróg, czy to indywidualny czy zbiorowy, nie jest tak jednoznaczny, jak w innych krajach. Bliski Wschód dawnym

widział tak masowej rewolty, w której zupełnie nie pojawiają się antyzachodnie, antyamerykańskie hasła. Co ciekawsze, demonstranci nie wzywają do wymazania z map państwa Izraela i nie upominają się o prawa palestyńskich braci. Choć dla części demonstrantów jest jasne, że za ich biedę i beznadziejność odpowiada prezydent Mubarak, to trudno go uznać za wroga wszystkich Egipcjan. W centrum Kairu starli się przecież jego przeciwnicy i zwolennicy.

Tak frontalny atak na Mubaraka, wspierany przez bardzo krytyczną wobec niego stację Al-Dżazira, został uznany przez część Egipcjan za niepatriotyczny. Wielu z nich wciąż mówi o nim „tata”. Wielu pamięta, że służył Egiptowi nie tylko jako polityk, ale też jako żołnierz. W tym społeczeństwie tak mocno uzależnionym od państwa upokorzenie prezydenta (wyniesienie go z kraju) mogłoby zostać uznane za zdradę państwa i wywołać kontrewolucję.

5. Pamiętanie – oby Egipcjanie je odnaleźli

Zakładając, że nie robi się rewolucji dla samej rewolucji, warto zadbać o jej spuściznę – trzeba wiedzieć, kiedy odstawić gilotyny. Wszystkie rewolucje z czasem ulegają radykalizacji. Jedną zmianą w systemie władzy wymaga następnej i prędzej czy później rewolucjoniści dochodzą do przekonania, że nic nie da się zrobić bez zniszczenia całego systemu. Ofiary ludzkie stają się wtedy efektem ubocznym na drodze do powszechnej szczęśliwości.

Taką drogą przez pięć lat podążała rewolucja francuska. Najpierw chodziło o ograniczenie władzy króla, potem o wolność, równość

i braterstwo. Skończyło się jakobińskim terrorem, gdy pod gilotyną zginęło 200 tysięcy przeciwników. Uchwalona w 1789 roku Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela utonąłaby w hektolitrach krwi, gdyby w lipcu 1794 roku

Zakładając, że nie robi się rewolucji dla samej rewolucji, warto zadbać o jej spuściznę – trzeba wiedzieć, kiedy odstawić gilotyny. To najtrudniejszy moment

tak zwany przewrót termidoriański nie odsunął Georges'a Dantona i spółki od władzy.

Historyk Martin Malia uważa, że taki „przewrót termidoriański” to najważniejszy, ale jednocześnie najtrudniejszy moment dla każdej rewolucji. Dla Malii przykładem rewolucji bez termidora była rewolucja październikowa. Gdy bolszewicy przejęli władzę w Piotrogradzie i pokonali resztki białej armii, wprowadzili system, który tak naprawdę był rewolucją permanentną – żadne umiarkowane siły nigdy nie odsunęły bolszewików od władzy. Gdy ta permanentna rewolucja skończyła się w 1991 roku, nic po niej nie pozostało.

Rewolucja w Egipcie zbliża się powoli do swojego termidora. Agresja po stronie prorządowej wywołuje jeszcze większą agresję opozycji. Zeszłotygodniowe zamieszki w Kairze przypominały już regularne bitwy,

a wśród egipskich komentatorów pojawił się sugestia o zbliżającej się wojnie domowej. „Jeśli ktoś miałby przerwać ten chaos, to prawdopodobnie mogą to zrobić tylko Bracia Muzułmanie” – pisał w czwartek w edytoriale panarabski dziennik „Al-Hayat” i dodawał: „W przeciwnym razie neutralna dotychczas armia będzie musiała opowiedzieć się po którejś ze stron. A wtedy nie będziemy mieli rewolucji, tylko rzeźnię”.

Kim jesteś?

Wielu mieszkańców Bliskiego Wschodu na pytanie: „Kim jesteś?” nie odpowie: „Algierczykiem”, „Egipcjaninem”, tylko „Arabem”. Jeden z egipskich podręczników dla uczniów szkoły podstawowej rozpoczyna się mniej więcej tak: „Wszyscy Arabowie mówią tym samym językiem, z grubsza mają tę samą kulturę i religię. A jeszcze 300 lat temu mieli wspólne państwo. Przyszli jednak Europejczycy i kredkami pomazali mapę Bliskiego Wschodu, jak chcieli”.

Tak zostało do dziś, mimo że Europejczycy wyjechali pół wieku temu. Wielu arabskich przywódców uczyniło ze swoich państw dziedziczne królestwa. Dla nich apele Gamala Namera o arabską jedność były egzystencjalnym zagrożeniem. Ale dziś apelują sami Egipcjanie. Jeśli uda im się w Egipcie zrobić prawdziwą rewolucję i obalić prezydenta Mubaraka, trzymane w gotowości odrzutowce mogą się przydać innym arabskim kacykom. A Arabowie po 300 latach w końcu sami będą decydować o sobie i o swoich państwach.

WSPÓLPRACA DONAT SZYLLER

Arabska latarnia, czyli Egipt jako trendsetter Bliskiego Wschodu

W d kłajpek w marokańskiej Essaouirze nad Atlantykiem po świetlicę szkoły w górach Jemenu mężczyźni potrafią nucić jej piosenki. Umm Kulthum, zwana arabskim Elvisem w spódnicy, to prawdopodobnie jedyna kobieta, przy której wszyscy Arabowie płaczą. Na jej pogrzeb w 1975 roku przyjechało do Kairu cztery miliony ludzi z całego świata arabskiego. Była Egipcjanką, ale jak napisał kiedyś Nadżib Mahfuz: „Umm Kulthum to najczystsza arabska perła”.

Mahfuz, laureat literackiego Nobla, to najczęściej czytany autor w świecie arabskim. Nawet tureccy intelektualści znają na pamięć całe fragmenty jego książek. Jak nikt opowiadał o Kairze. Był oczywiście Egipcjaninem. Tak jak najbardziej znany arabski aktor Omar Sharif.

Z Egiptu pochodzi też największy klasyk arabskiego kina, nakręcony w 1958 roku przez reżysera Youssefa Chahine film „Stacja Kair”.

– Egipt jest wciąż kulturową latarnią dla całego świata arabskiego – mówi „Przekrojowi” palestyński dziennikarz Rami Khouri. – To jak dla was Ameryka. Muzyka, filmy, sztuka, wszystko, co stamtąd pochodzi, kształtuje trendy w całym regionie.

Kilkadziesiąt lat temu Egipt kształtował też arabskie trendy polityczne. Gdy w 1970 roku zmarł twórca egipskiej republiki prezydent Gamal Abdel Naser, na ulice prawie wszystkich arabskich stolic wyszły tysiące żałobników, oplakując człowieka, który przywrócił im godność. Już jako głowa państwa w 1956 roku ku aplauzie całej

go świata arabskiego postawił się Francuzom i Brytyjczykom, przejmując kontrolę nad Kanałem Sueskim. Stworzył jedyną w swoim rodzaju ideologię – mieszkankę panarabizmu i socjalizmu, którą na lata zaraziło się kilka państw arabskich.

Z drugiej strony to właśnie z Egiptu rozlała się fala islamskiego fundamentalizmu. Ojciec założyciel tego popularnego dziś w islamie nurtu Saïd Kutb (powieszony przez Namera w 1966 roku) był Egipcjaninem. Cytatami z Kutba przerzucają się dziś w telewizji Al-Dżazira liderzy Al-Kaidy, a napisany przez niego komentarz do Koranu to najczęściej kupowana przez brytyjskich muzułmanów książka.

Stagnacja ery Mubaraka zrobiła jednak swoje. – Przez ostatnie lata Egipt stał się skamieliną oczekują-

cą śmierci dyktatora – mówi nam Bahey Hassan, egipski politolog. – Po tym jak Kair w 1979 roku podpisał umowę pokojową z Izraelem, prawie cały świat arabski odwrócił się od Egipcjan. Później były już tylko kolejne kadencje Mubaraka i coraz głębszy kryzys gospodarczy. Kiedyś potężny rolniczo Egipt przestał nawet eksportować żywność, nie wspominając już o ideologii.

Ten najludniejszy arabski kraj (84,5 miliona obywateli) nie stracił jednak nic ze swego potencjału, o czym świadczą zainteresowanie, z jakim Arabowie obserwują dziś Kair. Ale czy to, co tam widzą, można już nazwać rewolucją? Jeśli tak, to bójcie się, arabscy kacykowie! Wichry egipskiej rewolucji gwałtownie rozchodzą się po okolicy.

LUKASZ WÓJCIK

Jąkanie to spętanie

Człowiek wszystkiego spróbuje, żeby tylko mówić gładko. Za wyjście z jąkania trzeba słono zapłacić i Polacy płacą. Kłopot w tym, że drogie seanse terapeutyczne mają czasem mniej sensu niż te lansowane w kinie

MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ



Hm... jak tu otworzyć usta? Colin Firth gra księcia Alberta i przeżywa męki przynajmniej procentu mieszkańców kuli ziemskiej

Film „Jak zostać królem” otrzymał 12 nominacji do Oscara, a powinien też chyba dostać specjalną nagrodę od jąkających się – jeśli nie otworzy im ust, to przynajmniej tym, którzy nie wiedzą, co to jest jąkanie, otworzy oczy na problem. Film nie pokazuje całej tragedii ludzi, którzy się zacinają i blokują, ale za to ma dobre zakończenie: Albert (Colin Firth), jąkający się książę Yorku, po wielu nieudanych terapiach trafia w końcu do Lionela Logue'a (Geoffrey Rush). Ten samozwańczy logopeda sprawia, że dukający książę staje się płynnie mówiącym królem Jerzym VI.

W rzeczywistości, szczególnie polskiej, nie tak łatwo o dobre zakończenie. Bywa, że koniec jest oplakany. – Głębokie depresje, samobójstwa – wymienia doktor Olga Przybyła z Zakładu Dydaktyki Języka Polskiego na Uniwersytecie Śląskim. Od lat zajmuje ją tematy-

ka jąkania. – Ostatnio – opowiada – przyszedł do mnie 60-letni mężczyzna z synem. Dorosłym, 30-letnim, milczącym. Wszędzie chodzi z ojcem, bo sam nie jest w stanie wydusić słowa. To maksymalna logofobia, czyli patologiczny strach przed mówieniem.

Niestety, doktor Przybyła często widuje tak ciężkie przypadki. Wielu ludzi ma za sobą próby samobójcze, bo wychodzi z założenia, że lepiej już nie żyć, niż się odezwać. Na samą myśl o wydaniu z siebie dźwięku zalewa ich pot i krew – robią się czerwoni, zaczynają dygotać, głowa ucieka w bok, oczy w górę. Mowa więźnie w gardle, wygina ciało, czasami toczy się przy tym pianę z ust.

Jąkanie to nie tylko najbardziej przykra ze wszystkich wad wymowy, ale też – według specjalistów – zaburzenie rozwoju, zachowań, emocji. Ponoć można mieć do tego predispozycje genetyczne, ale można też zacząć

się jąkać z powodu urazu (szok, strach) albo gdy człowiek żyje w stresie, stoi przed niemiernymi wymaganiami. – Z danych WHO wynika, że jąka się jeden procent populacji. Ale to stare badania, raczej nieaktualne – mówi doktor Mieczysław Chęć, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Logopedycznego, który prowadzi Specjalistyczne Centrum Terapii Jąkania. Jego zdaniem jąkających jest więcej. Doktor szacuje, że w Polsce przynajmniej 500 tysięcy. A będzie jeszcze więcej. Powód? Życie. Ostatnio bardzo przyspieszyło, a nie każdy jest w stanie pośpiech wytrzymać.

Ręka za wyleczenie

Z telewizji, radia płyną potoki słów. Już nie wypada mówić z namysłem, teraz strzela słowami, jeden puszcza serię, żeby uprzedzić drugiego. – W domu już od małego kazano błądź się, wzbudzać wesołość klasy.

czasu – wyjaśnia doktor Chęć. Jak tam było w przedszkolu, no mów, co tak dukasz? Wyduśże z siebie! A co w szkole? Dlaczego ty zawsze tak się guzdrzesz? No prędko, zaraz wychodzimy na angielski. Pakuj się na trening. Weź się w garść, nie bądź rozmemłany!

Pośpiech i te wszystkie „nara” zamiast „na razie”, „dozo” zamiast „do zobaczenia” z jednej strony wzmagają kłopoty z płynnym mówieniem, a z drugiej – pozwalają ukryć to, że poprawnie nie umie się mówić. – A krycie się, stosowanie uników to podstawowe strategie w jąkaniu – tłumaczy Sylwia Zienitek, która prowadzi Centrum Terapii Jąkania w Bydgoszczy.

– Jąkanie to przypadłość, która nie budzi szczerego zrozumienia, lecz szczerzy śmiech – przyznaje Zdzisław Gładosz, prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Jąkających się Ostoja. – Przy czym dzieciaki są szczerze do bólu, z naciskiem na ból.

Róża Sobocińska, logopedka z Torunia, która z jąkającymi się pracuje od 22 lat: – Dostaję rozpaczliwe e-maile od młodych ludzi, którzy piszą, że woleliby nie mieć ręki lub nogi, niż się jąkać. Uważają, że mniej by bolało.

Są też wyrazy, które jąkających się przyprawiają o ból. To: „trwały”, „krtań”, „brawo”, „trawa”, „droga”, „krowa”. Jeśli ktoś ma na imię

– Kiedyś – opowiada Jarosław Hanulak – pięknie mnie zablokowało na dworcu PKS. Stałem przy kasie i nic. Trzeba kupić bilet na autobus, a ja nie mogę powiedzieć, dokąd chcę jechać. Ostatecznie kasjerka podała mi kartkę: „Niech mi pan napisze”. Napisałem, ale wolałbym, żeby mi pozwoliła wyjść do końca.

Innym razem w osiedlowym sklepie odstąpił swoje w kolejce i już zabierał się do powiedzenia „Dzień dobry”. Tak długo się zabierał, że ekspedientce nie chciało się czekać na uprzejmości ani tym bardziej na to, co miałyby mu podać. – „Czym mogę służyć?” – zapytała człowieka, który stał za mną. A ja? Jakby mnie ktoś w brzuch grzmotnął. Bolało – wspomina Hanulak. – Wyszedłem bez zakupów.

– Ludzie, którzy nie mówią płynnie, codziennymi niepowodzeniami wtrąceni są do piekieł – uważa doktor Chęć.

Piekłem jest sklep bez samoobsługi, rozmowa telefoniczna (trzeba się spieszyć, bo czuje się to oczekiwanie, napięcie po drugiej stronie). Piekłem jest też okienko (na poczcie, w banku, kasie biletowej), bo jest szyba, trzeba się pochylić, mówić głośno i wyraźnie. To wszystko jest piekielnie stresujące.

Jeszcze się maluch zarazi

– Ludzie boją się mówić i boją się żyć – tłumaczy Marek Dubiński. Jest prezesem wrocławskiego Klubu J, a często jest też nazywany prezesem wszystkich jąkających się w Polsce (po dziecięcym porażeniu mózgowym została mu niesprawna ręka, noga, no i długo miał też niesprawną mowę). Jako szef wrocławskiego koła widzi, co się dzieje w rodzinach, w których trafi się jąkające dziecko. Jaka jest w nich panika czasami, jaka histeria. – Matka krzyczy i płacze, wymusza na synu, żeby się odezwał. Ten bije się po twarzy, żeby tylko się zdyscyplinować, wyduś z siebie coś, wyartykułować – opowiada Dubiński.

Pracuje na Politechnice Wrocławskiej, skończył studia, zdał przed ministerialną komisją egzamin – ustny! – na bibliotekarza dyplomowanego. Ma więc dowód: przy odpowiedniej technice jąkanie można opanować, trzeba tylko stale czuć, koordynować oddech, fonację, artykulację. Udaje mu się, więc ma powód do dumy. Ale ma też pamięć, a w niej nefajne obrazki. Żona, kiedy zaszła w ciążę, nagle zaczęła się od niego odsuwać: lepiej niech on przy niej i dziecku nic nie mówi, jeszcze maluch zarazi się jąkaniem. Dziecko urodziło się pięknie i zdrowe, wyrosło, nie jąka się (ale małżeństwo się rozpadło). →



W tym kole siedzi warszawski Klub J – wspiera się w wychodzeniu z zaklętego kręgu jąkania

Z badań, które w ubiegłym roku doktor Przybyła przeprowadziła w szkołach (głównie województwa śląskiego, od podstawówki do liceum), wynika, że kto ma kłopot z mówieniem, woli się nie odzywać. Inaczej od razu dostałby w klasie łatkę „jąkała”, „śmieszny”, „głupi”. – Byłam porażona, kiedy czytałam w ankietach, jakich określeń na jąkających się używają uczniowie – opowiada doktor Przybyła. Zresztą przy przeglądaniu ankiet wypełnionych przez nauczycieli humor jej się nie poprawił. – Nie dostrzegają problemu – wzdycha. – Można, unikając mówienia, dojść do matury – dodaje. – Nauczyciele teraz nie lubią odpytywać, to zajmuje zbyt dużo czasu. Nie naciskają więc, żeby ktokolwiek mówił. A jeśli nawet ktoś z nauczycieli lubi pytać, jąkający się uczeń woli udać nieprzygotowanego i od razu dostać jedynkę, niż iść do tablicy męczyć się, wzbudzać wesołość klasy.

Tomek, Adam, Irena, to raczej spuchnie, niż przedstawi się bez zająknięcia.

– Kiedyś na terapii poznałem chłopaka, któremu 20 minut zajmowało powiedzenie, jak ma na imię – wspomina Gładosz.

– Spotkałem kolegę na przystanku autobusowym. Z uprzejmości zapytałem: „Dokąd jedziesz?” – wspomina Jarosław Hanulak (37 lat, cukiernik z Warszawy). – Obaj się jąkamy. A on strasznie był uprzejmy i zawzięty, żeby mi odpowiedzieć. Niestety, dusił się, cmokał, wykręcał ciało. Jego autobus przyjechał i odjechał, a on wciąż wymawiał jedno słowo. Nie przerwaliśmy, rozumiałem: człowiek, kiedy już zaczyna mówić, to chce skończyć.

Na rozruch sięga się po dźwięki zwane startarami, które powinny pomóc przełamać blokadę: „oj”, „no”, „tam tego”. Albo wypełniacze: „yyy”, „eee”, „uuu”. A i tak nie zawsze udaje się płynnie zacząć i skończyć zdanie.

Cud na sklejkę

W Terespolu i okolicy pięć płaczących olejem ikon jednoczy katolików i prawosławnych

TEKST ANNA SZULC
ZDJĘCIA BOGDANKREZEL.COM

Do miasta przy polsko-białoruskiej granicy z całej Polski ściągają dziesiątki tysięcy pielgrzymów. Kobiety w zagrożonej ciąży, matki z chorymi dziećmi, renciści o kulach i na wózkach, ale też całkiem zdrowi górnicy, hutnicy, urzędnicy i gimnazjaliści... Głównie katolicy z dziada pradziada, z których większość pierwszy raz w życiu przekracza próg cerkwi. Wszyscy włączają się w długą, odmawianą w staro-cerkiewno-słowiańskim języku modlitwę na cześć Madonny. Bo ta wizyta to szansa na osobisty cud.

Ani tzy, ani krew

Emerytowany nauczyciel z Terespolu po modlitwie w cerkwi oznajmił, że do zdrowia wróciło mu schorowane dotąd biodro. Rencistka z Białegostoku oświadczyła, że do świątyni wjechała na wózku, a wyszła z niej o własnych siłach. Z kolei pewnej bizneswoman z Nowego Targu miało ozdrowieć dziecko, a urzędnik z Gdyni bił się przed pielgrzymami w pierś, że wystarczyła krótka modlitwa przed ikoną, by wyleczył się z nałogu picia piwa przez siedem dni w tygodniu. Po czym przez siedem następných dni, zupełnie na trzeźwo, szalał ze szczęścia, a na końcu poszedł na mszę do kościoła.

Państwo Anna i Ludwik Janikowie spod Lublina - właściciele pola i kurzej fermy - odwiedzili Terespol już cztery razy. - W cerkwi inne to wszystko niż nasze, katolickie, ale działa - zapewniają. Są pewni, że od czasu pierwszego spotkania z płaczącą ikoną Matki Boskiej z Terespolu znacząco poprawiło się ich zdrowie. Co potwierdzić miał lekarz rodzinny.



Oficjalne modlitwy przed obrazem odmawiane są co niedziela aż do zmroku

W terespolskiej cerkwi po raz pierwszy tłumnie zrobiło się w październiku zeszłego roku. Wtedy właśnie wierni po raz pierwszy usłyszeli o 16-letnim gimnazjaliście Łukaszu Popławskim, bogobojnym chłopcu wschodniego obrządku, który od lat służy do mszy. I o księdzu Jarosławie Łosiu, proboszczu prawosławnej, liczącej sobie zaledwie 50 członków parafii pod wezwaniem świętego apostoła ewangelisty Jana Teologa w Terespolu. Ksiądz Łoś kilka miesięcy wcześniej wybrał się na Ukrainę i przywiózł z niej - na prośbę Łukasza - kopię czyniącej cuda ikony Matki Boskiej ze świętej Góry Athos w Grecji. Konkretnie - Bogurodzicy Skoroposłusznicy (Matki Boskiej Szybko Spełniającej Prośby). Przed greckim obrazem - tak przynajmniej głosi tradycja - chorzy odzyskiwali pełną władzę w członkach, a opętani przez siły nieczyste wracali na ścieżkę emocjonalnej równowagi. Co więcej, ci, którym los zapisał w biografii katastrofę, cudem jej podobno unikali.

A w październiku Matka Boska z Góry Athos postanowiła pomóc Polakom. Wtedy to gimnazjalista Łukasz podczas domowej porannej modlitwy przyjrzał się uważnie podarowanemu przez księdza Łosia obrazowi. I zobaczył, że Madonna płacze olejem. Nie

zwykłym oczywiście, skoro wydobywał się z oczu Madonny. Od razu uznano, że to mirro - olej święty, a dokładniej święcony, który zwykle używany jest do namaszczeń w sakramentach i liturgii.

Takie cuda już się na świecie zdarzały. Tylko że dotąd mirro wypływało z ikon pisanych według rygorystycznych reguł tradycji. Tymczasem Matka Boska, która zapłakała przed Łukaszem, nie dość, że jest kopią, to na dodatek wykonana oleodrukiem naklejonym na sklejkę. Takim, jakich wiele w ukraińskich sklepikach z lokalną „cepelią”.

Wierni decydują

- Rzeczywiście, taka kopia nie ma nic wspólnego z ikoną pisaną i wymodloną przez artystę według wielowiekowych kanonów - przyznaje doktor Bartłomiej Brzeziński z Instytutu Wschodniego UAM w Poznaniu, specjalista od prawosławia. Czy to oznacza, że Matka Boska, kiedyś z Góry Athos, a teraz z Terespolu, jest niewiele znaczącym obrazkiem?

- Nie - zaprzecza Brzeziński. I tłumaczy. Powód pierwszy: ikona nie ikona została uznana za świętość przez księdza (nazywanego potocznie batiuszką, choć katolicy wolą na niego pop).

Powód drugi: została przeniesiona przez niego - po konsultacjach z rodziną chłopca - na stałe do cerkwi (dom Popławskich, ku przerażeniu właścicieli, nagle zamienił się w centrum pielgrzymek).

Powód trzeci: Jego Eksceleńcja Najprzewielebniejszy Abel, arcybiskup i ordynariusz prawosławnej diecezji lubelsko-chełmskiej, uznał olejne łzy Madonny za nadprzyrodzone zjawisko. - Przy zachowaniu pełnej pokory wobec zjawisk, których człowiek nie jest w stanie w pełni rozpoznać ani pojąć, traktujemy to jako objawienie - potwierdza arcybiskup. Przypominając, że w prawosławiu nie bada się podobnych niezwykłych wydarzeń. Zupełnie inaczej niż w rzymskim katolicyzmie.

- W katolicyzmie cuda skrupulatnie i z dużą dozą nieufności sprawdzają kościelne komisje - wyjaśnia doktor Maciej Krzywosz z Pracowni Badań i Dokumentacji Zjawisk Mirakularnych w Instytucie Socjologii Uniwersytetu w Białymstoku.

Tak było na przykład w 1949 roku, gdy w katedrze w Lublinie na obrazie zaczęła płakać Matka Boska, zwana odtąd Matką Boską Płaczącą. Kościół obrządku łacińskiego wziął wówczas łzy pod lupę i cudu nie przyjął. Nie uznał też - po przebadaniu wydarzeń,

przesłuchaniu świadków i zaprotokołowaniu innych, wszelkich możliwych świadectw - większości z pozostałych 200 obrazów i figur Madonny, które zapłakały nad światem w ciągu całego XX wieku. Tak samo jak nie uwierzył w nagłośnione przez media zdarzenie eucharystyczne w Sokółce (również Podlasie), gdzie jesienią 2009 roku hostia miała jakoby zamienić się w tkankę przypominającą fragment mięśnia sercowego.

- Ale nasi wierni we własnym sumieniu - zapewnia „Przekrój” prawosławny arcybiskup Abel - muszą rozstrzygnąć, czy wierzą w objawienie, czy też je negują.

Tropem wojen

Panią Lubę z Terespolu, emerytkę, prawosławną żonę katolika regularnie odwiedzającą cerkiew, nurtują więc różne pytania. Dlaczego Madonna z ikony rozdziela radość po równo prawosławnym i katolikom? I właściwie dlaczego uszczęśliwia ludzi, skoro sama jest taka smutna? I czemu służyć mają kolejne załamane ikony, które w ostatnim czasie dołączyły do płaczącej Bogurodzicy?

Bo w grudniu w Terespolu doliczono się już pięciu płaczących obrazów (w tym dwóch ikon z Madonnami i dwóch z prawosławnymi

mi świętymi), a pod koniec stycznia dołączyła szósta Matka Boska, i to w samej pobliskiej Białej Podlaskiej. O czym doniósł „Przekrój” mnich Marek z prawosławnego monasteru w Jabłecznej. Dla niego obecne objawienia w cerkwi mogą mieć wymiar apokaliptyczny. Uważa, że Bogurodzica przesyła ostrzeżenie od Najwyższego, któremu nie w smak jest obecna polityka ludzkości. I że to ostatni moment dla ludzi, by się opamiętali.

- To dobry trop - uważa doktor Maciej Krzywosz. - Jeśli prześledzimy historię płaczących Bogurodzic, to te łzy z reguły wierni interpretowali jako zapowiedź przykrych zdarzeń, na przykład wojen, katastrof czy epidemii.

- Cuda zawsze są po coś - przyznaje profesor Włodzimierz Pawluczuk, religioznawca i badacz kultury ludowej. - Zwykle po to, by dać namacalny dowód istnienia Boga. Czasem jednak przez cud przemawiają różne racje.

Według arcybiskupa Abła objawienie Bogurodzicy na Podlasiu ma rację historyczną - to przypomnienie dla świata, jak bolesna jest przeszłość prawosławnego Podlasia.

Jakie jeszcze racje stoją za cudem z oleodruku, raczej się nie dowiemy, bo przecież terespolska Matka Boska Szybko Spełniająca Prośby nie mówi, tylko płacze.



Skoroposłusznicza - kiedyś z Góry Athos, teraz także Terespolu - równie szybko jak grecki oryginał spełnia prośby wiernych



Rekonstruktor

Niczego nie zmyślić, opowiedzieć o Grudniu 1970 jak najwierniej. Taki „Czarny czwartek” wymyślił **ANTONI KRAUZE** i taki film nakręcił. Robert Mazurek jest pod wrażeniem, ale dodaje: Amerykanie zrobiliby to inaczej

Dystrybutor liczy na sukces. 150 kopii „Czarnego czwartku” oznacza, że zalejecie Polskę.

- Nie muszę dodawać, że bardzo bym tego sobie i jemu życzył (*śmiech*).

Będzie trudno, bo to film o Grudniu 1970, co dla 20-latków brzmi jak powstanie styczniowe.

- Mam świadomość, że to było 40 lat temu i wielu widzów nie było jeszcze na świecie.

Na obozy harcerskie przyjeżdżali kombatanci i opowiadali o II wojnie światowej. Straszne nudy. Wie pan, że jest jednym z takich kombatantów?

- Dlatego staraliśmy się zrobić ten film maksymalnie atrakcyjnie. W połowie lat 90. zrobiłem na podstawie książek Suworowa „Akwarium”, które stylizowałem na kino radzieckie, ale okazało się zupełnie nieczytelne, bardzo je skrytykowano. I wiedziałem, że „Czarny czwartek” muszę zrobić nowoczesnie.

Ale to nie jest hollywoodzki film, raczej brytyjski. Gdyby mówili ze szkockim akcentem, uwierzyłbym, że to na przykład film Loacha.

- Czyli jednak nawiązania do Greengrassa? Chciałem, żeby ten film niczego nie zmyślał, nie koloryzował. On nie miał być konwencjonalną fabułą, tylko rekonstrukcją tego, co się stało.

Porównania do „Krwawej niedzieli” Paula Greengrassa są nieuniknione.

- Miałem podobne zadanie jak oni: zrekonstruować tragiczne wydarzenia. Ale film Greengrassa zobaczyłem dopiero niedawno, już po tym, jak dogadaliśmy się co do wizji „Czarnego czwartku”, choć jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć. Dlatego musiałem się pilnować, by niczego nie powtarzać.

Film w dużej części jest robiony w konwencji udawanego dokumentu.

- Chcieliśmy jak najwierniej oddać to, co się stało w grudniu 1970 roku w Gdyni, ale w realiach filmu fabularnego. Przez to, że tak bardzo staraliśmy się niczego nie wypaczyć, zacierają się granice między dokumentem a fabułą.

Łączycie zdjęcia dokumentalne ze stylizowanymi na archiwalne.

- Wszystkie zdjęcia czarno-białe są autentyczne, a myśmy rekonstruowali w kolorze. Operator Jacek Petrycki wymógł na mnie, by kilka naszych ujęć dokręcić na starej kamerze, „ósemce”, bo wydawało mu się,

że w ten sposób stworzymy coś pomiędzy, ale okazało się, że łącząc zdjęć archiwalnych z nowymi nie sprawiło kłopotów.

Wasz pietyzm w odtwarzaniu szczegółów był zdumiewający.

- Pomagała nam pani Stefania Drywa. Była zachwycona tym, jak dobrze odtworzyliśmy jej mieszkanie. Musieliśmy wybudować je w domu, ale powstało w oryginalnych wymiarach.

Naprawdę? Przecież zawsze buduje się większe, bo łatwiej kręcić.

- A nam się wydawało, że to zaleta, że zmusza nas do wysiłku i lepiej oddaje tamten dom.

Musielście też specjalnie wyprodukować materiał na mundury mora dla milicjantów.

- Tak? Nawet nie wiedziałem, bo nasza kostiumograf Anna Grabowska, wspaniała osoba, dokonywała cudów i o wielu rzeczach po prostu mnie nie informowała. Cała ekipa pracowała z niesamowitym poświęceniem. Nasz scenograf Zbigniew Dalecki do tego stopnia dbał o wierność realiów, że musieliśmy odśnieżać ulice Gdańska, bo w 1970 roku śniegu nie było.

Nie mógłby pan na mojej ulicy czegoś kręcić? A tak serio, dziwny to film – ze szczątkową fabułą, bez punktu kulminacyjnego, ale strasznie przejmujący.

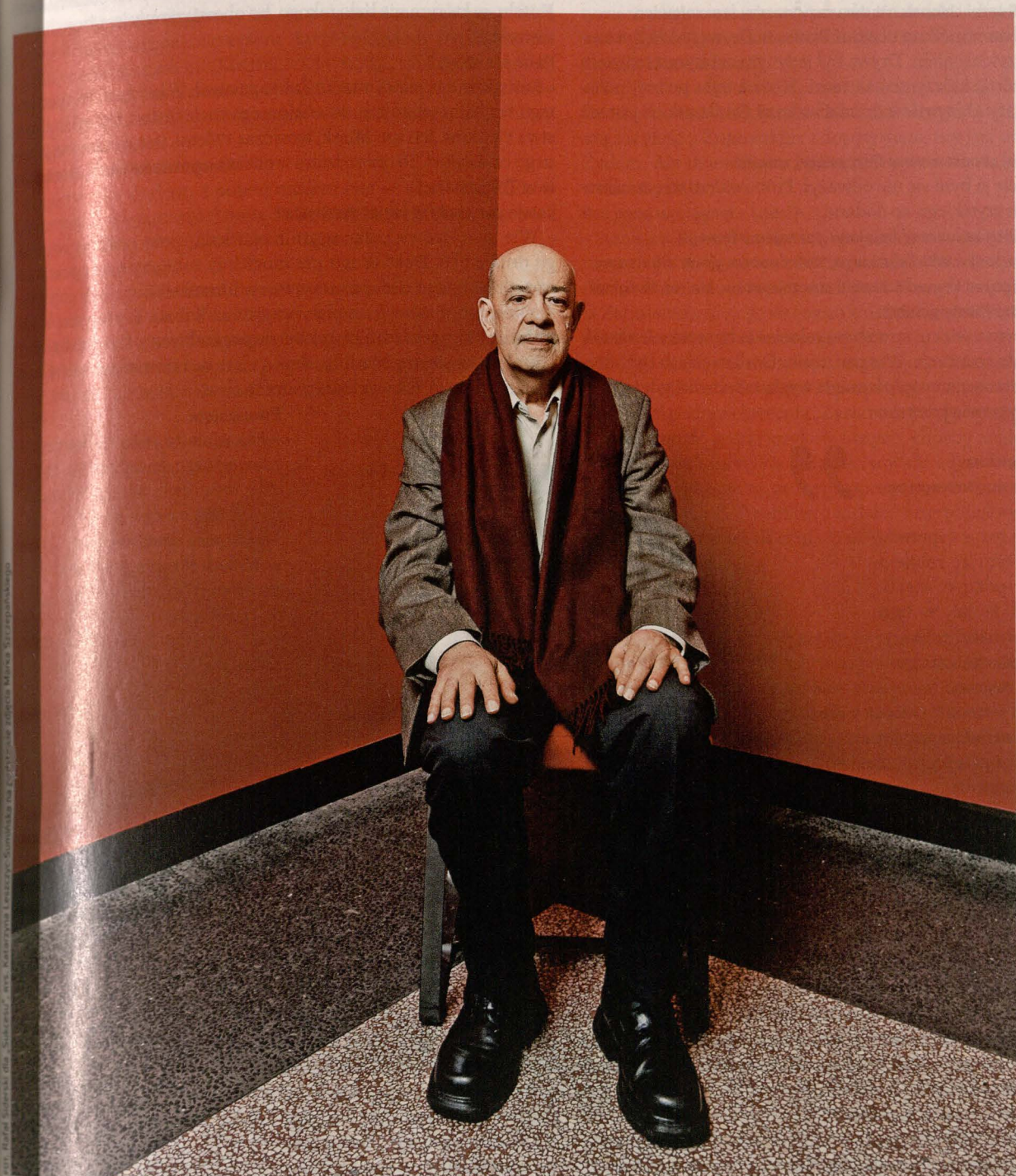
- Kulminacją Grudnia 1970 roku było to, co się wydarzyło 10 lat później w Gdańsku, to, że robotnicy upomnieli się o pamięć zabitych. Scenarzyści zaproponowali nawet, byśmy jako ten moment pokazali, ale wdało mi się to zbyt prostym chwytem. Dlaczego po 40 latach wracamy do tamtych czasów? Bo tej historii nie opowiedziano do końca. W sierpniu 1980 roku wrócono do sprawy ofiar Grudnia, ale przyszedł grudzień i stan wojenny. A potem, po 1989 roku szybko o tym zapomniano, zajęto się czymś innym, nikt nie został ukarany.

Do „Czarnego czwartku” dodaliście podtytuł „Janek Wiśniewski padł”.

- Tego chciał dystrybutor, a ja nie oponowałem.

Długo trzeba było pana namawiać, by Kazik Staszewski zaśpiewał „Janek Wiśniewski padł”?

- Wcale! Ja przepadam za Kazikiem, z czasów warszawskiej bohemy znałem jego ojca. Okazało się zresztą, że „Janek Wiśniewski padł” był w latach 80. jedną z ulubionych piosenek Kazika.



” W styczniu 1971 roku byłem w Trójmieście i to była niesamowita wyprawa. Na własne oczy widziałem spalony budynek komitetu, dworca, powybijane szyby hotelu Monopol... Było pochmurnie i wilgotno, cały czas wydawało mi się, że czuję swąd nie tylko spalenizny, ale wręcz gazów łzawiących

ANTONI KRAUZE



Jak dobrze i szczęśliwie żyć

Nie dojadaj, zarabiaj najwyżej 15 tysięcy, weź ślub – nasz przewodnik pokazuje drogę do szczęścia od poczęcia po grób

URSZULA DĄBROWSKA

Czy istnieje bardziej fundamentalne i ważne pytanie? A przy okazji – czy istnieje pytanie, na które udzielono więcej banalnych, bezużytecznych i denerwujących odpowiedzi? My postanowiliśmy spojrzeć na temat inaczej. Wierzymy w siłę nauki, więc to w niej szukamy rozwiązania. Do sprawy podeszliśmy systemowo – po pierwsze, przejrzyliśmy setki badań z najróżniejszych dziedzin, po to by wyłowić te, które podpowiedzą nam, jak dobrze żyć. Po drugie, skorzystaliśmy z autorytetu wybitnego fachowca – w końcu kto może wiedzieć o szczęściu więcej niż doskonały psycholog?

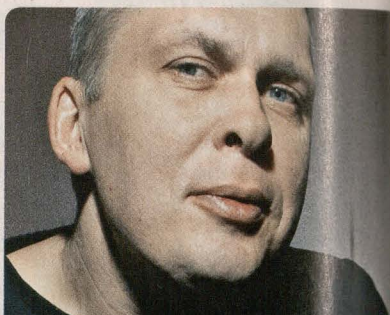
Wyniki naszej pracy zaskoczyły nas samych. Okazuje się, że babcine rady – nudne i zalatujące myszowatym moralizmem – mają więcej sensu, niż mogłoby się wydawać. Na szczęście poparte twardymi badaniami brzmią znacznie lepiej, a w dodatku wiele z nich da się zastosować na co dzień. Dodatkową motywacją mogą być prze-myślenia ludzi znanych, którzy osiągnęli w życiu rzeczy będące dla wielu obiektem zazdrości. Zanim zabierzesz się do lektury, sięgnij po długopis lub flamaster. Podkreśl te pomysły, które zainteresują cię lub rozbawią. A potem jeden lub dwa z nich zastosuj. Obiecujemy, że będzie ci się żyło trochę lepiej.

Grunt to podstawa

Rodzice to kwestia fundamentalna. Są nawet ważniejsi niż miejsce urodzenia. Czemu? Bo od nich zależy, jaki bagaż genetyczny będziemy nieść przez całe swoje życie. A to geny w dużej mierze odpowiadają za nasze usposobienie. Jeszcze w latach 90. uważano, że bezwzględnie wyznaczają pułap szczęścia każdego człowieka. Taką tezę postawił genetyk David Lykken. Zebrał on dane na temat czterech tysięcy par bliźniąt, które urodziły się między 1936 a 1955 rokiem. Porównał pary jedno- i dwujajowe. Te pierwsze prawie zawsze miały ten sam poziom zadowolenia z życia – bez względu na to, czy wychowywały się razem, czy po narodzinach trafiły do różnych rodzin. Tak silnej korelacji nie zauważono natomiast wśród bliźniąt dwujajowych. Na tej podstawie Lykken wyliczył, że nawet 80 procent naszej szansy na szczęśliwe życie warunkują geny. Twierdził, że „starać się być szczęśliwszym jest jak starać się być wyższym”. Po kilku latach naukowiec wycofał się z tak fatalistycznego podejścia. Dziś przyjmuje się, że o tym, jak bardzo będziesz szczęśliwy, geny decydują jedynie w 50 procentach. Resztę kształtują środowisko i... ty sam.

Skup się na pierwszych dziewięciu miesiącach. Otoczenie ma na nas duży wpływ nawet wtedy, gdy jesteśmy jeszcze w brzuchu mamy. Badania 120 Brytyjek i ich dzieci wykazały, że depresja w ciąży może czterokrotnie zwiększać prawdopodobieństwo, iż potomek będzie agresywny i nieszczęśliwy jako nastolatek. Równie negatywne skutki jak depresja wywiera stres. Gdy go odczuwamy, nasze

nerki wytwarzają kortyzol (hormon reakcji na zagrożenie). Nie jest on niebezpieczny dla matki, ale zaburza rozwój układu nerwowego płodu. Potwierdzają to wieloletnie obserwacje prowadzone przez lekarzy i psychologów oraz ostatnie badania na szczurach (trudno prosić kobiety, by w warunkach laboratoryjnych dla dobra nauki poddawały się stresowi w czasie ciąży). Okazuje się, że młode kobiety nie mają gorszą pamięć i wolniej się uczą, jeżeli ciężarnym samiczkom nie zapewnią komfortu i na przykład drażniąco je niepalonymi (ale nie niebezpiecznymi) dymami.



Adam Nowak
Muzyk z zespołu Raz, Dwa, Trzy

” Szczęście to brak nieszczęść

Wystarczający program, minimum

chać i dmuchać, by nie zaprzepaścić szansy dziecka na szczęśliwe i dobre życie.

Po porodzie postaw na mleko matki. Lepiej niż modyfikowane wzmacnia odporność i chroni przed otyłością i cukrzycą w dorosłości. Od lat 70. Światowa Organizacja Zdrowia zaleca karmienie piersią co najmniej do szóstego miesiąca życia. Lista korzyści jest długa i obejmuje w równej mierze zdrowie fizyczne i emocjonalny. Jeśli jednak dziecko nie może być karmione mlekiem matki, nie rób łez – to jeszcze nie zamyka mu drzwi do błogostanu. Poza tym stres i poczucie winy nie pomogą w wychowaniu szczęśliwego potomka.



Robert Makłowicz
Kucharz

” Suma prostych przyjemności

Przede wszystkim trzeba mieć świadomość, że życie jest zbyt krótkie, by czytać złe książki, słuchać złej muzyki, jeść i pić złe rzeczy. Wielcy szefowie kuchni powiedzą pewnie, że gotowanie daje szczęście, ale przyznam, że ja zdecydowanie wolę jeść. Gama odczuć – nie tylko zmysłowych, ale wręcz fizycznych – jest wtedy podobna do tej, gdy oglądam zachód słońca nad Dubrownikiem lub słucham Mozarta czy Coltrane’a. To nie zdarza się często, ale przecież nie może często się zdarzać.

Warto uświadomić sobie, że życie składa się z prostych radości. Ze zjedzenie kromki chleba z czymś zwyczajnym może sprawić taką samą przyjemność jak zjedzenie przegrzebków w sosie tytoniowym czy innego wyrafinowanego dania. Ja zjadłem dziś chleb tyrolski z chrupiącą skórką, pieczony z odrobiną anżyru, z wędzoną w dymie jałowcowym szynką speck, popiłem to pysznym białym winem Grüner Veltliner, a to wszystko z widokiem na ośnieżone Alpy. Teraz rozumiecie, co mam na myśli?



Ewa Błaszczyk
Aktorka

” Rozwój, pełnia i radość

Bardzo ważne jest, żeby człowiek się rozwijał w ciągu swojego życia – stale, na każdym etapie. Ważne jest również, by miał pasję, coś swojego, niezależnego od rządów, polityki, pieniędzy, coś, co kręci, podnieca, wypełnia, daje radość. To straszna udręka, kiedy człowiek czuje, że jest nie na miejscu, że nie smakuje mu to, co robi. Dużo daje otwartość w relacjach z ludźmi. A jeżeli uda się znaleźć kogoś bliskiego, to wtedy można iść przez różne zawirowania.

FOT. Maciej Zieniewicz/AG

Wielki powrót kindersztuby. Nie będziemy się tu rozwodzić nad sprawami oczywistymi. Bez podstawowych przywilejów dzieciństwa (poczucie bezpieczeństwa, warunki do rozwoju, zabawy i nauki, a także szacunek i troska opiekunów) osiągnięcie pełnego szczęścia w dorosłości jest trudne, żeby nie powiedzieć: niemożliwe. Miłość to sprawa bezdyskusyjna. Jest jednak coś, co w ostatnich dniach stycznia poruszyło świat nauki. Wyniki wieloletnich badań psychologów z Nowej Zelandii pokazały, że powodzenie w dorosłym życiu silnie koreluje ze zdolnością do samokontroli we wczesnym dzieciństwie. Trzylatkom, które wykazywały opanowanie, cierpliwość, skupienie i umiejętność godzenia się z przykrociami (co oceniali ich rodzice i opiekunowie), 30 lat później żyje się znacznie lepiej. Są zdrowsze, mają lepszą pracę i sytuację rodzinną. Naukowcy dodają, że czasami dzieci kształtują silną wolę później, w podstawówce, a nawet liceum – nie zawsze jest to cecha wrodzona. Dlatego jeśli zależy ci na szczęściu, zawalcz o samokontrolę u twojego dziecka (i swoją, jeśli sam masz z nią kłopoty).

Okres burzy i naporu musisz po prostu prze-trwać. Tu niewiele da się zrobić. Kilka lat temu przekonaliśmy nas do tego badania amerykańskich naukowców pod przewodnictwem doktora Jaya Giedda. Użycie fMRI (funkcjonalnego rezonansu magnetycznego) pozwoliło zrozumieć, co się dzieje w głowie nastolatka.

Po pierwsze, w jego nastrojach mocno mieszają hormony. Mają stymulować zmiany w ciele, ale zalewają też mózg. A ten i tak ma wiele pracy, bo akurat okres między 11. a 18. rokiem życia to czas, gdy ulega generalnym przeobrażeniom. W głowie dziecka znajduje się nadprogramowa liczba połączeń między neuronami. Najwięcej około 11. roku życia. Dzięki temu uczymy się niezwykle szybko, wręcz wchłaniamy wiedzę z otoczenia. W okresie dojrzewania mózg przechodzi generalny remanent. Staje się mniej elastyczny i podatny na wpływy, ale za to działa wydajniej i sprawniej. Najpóźniej – nawet do 25. urodzin – dojrzewa kora przedczołowa. A to właśnie od niej zależy „dorosła” kontrola nad emocjami →

→ ogólnego poczucia szczęścia ludzi i tego, jak bardzo zadowoleni byli z pracy. Okazało się, że osoby ogólnie szczęśliwe częściej osiągały zawodowe spełnienie. Wpływ świetnej pracy na ogólny dobrostan nie jest już jednak tak duży. Dlatego nie popadaj w pracoholizm, nawet jeśli to, co robisz, cię kręci. Potrzebujesz mieć czas na życie osobiste – to głównie wtedy wykuwasz swoje szczęście. A praca może tylko na tym skorzystać.

Zarabiaj, ale bez przesady. Według badań przeprowadzonych przez Instytut Gallupa szczęście rośnie wraz z zarobkami tylko do pewnego momentu. Potem wzrost dochodu nie ma już wpływu na poziom zadowolenia z życia. Analizy przeprowadzono na 136 tysiącach osób ze 132 krajów i wszędzie ta zależność jest taka sama. Tylko ile pieniędzy to już przesada? W USA próg to 75 tysięcy dolarów rocznie. Po uwzględnieniu siły nabywczej

ta kwota odpowiada około 15 tysiącom złotych miesięcznie. Dla wielu Polaków to dochód niewyobrażalny. Jeśli jednak jesteś jednym z tych, którzy tyle zarabiają, możesz odetchnąć. Więcej już nie ma znaczenia.

Pieniądze wydawaj z głową. Gdy już masz pieniądze, skup się na tym, by dawały ci jak najwięcej satysfakcji. Zamiast rzeczy materialnych (samochodu, komputera, ubrań) kupuj przeżycia. Do takich wniosków doszedł psycholog Thomas Gilovich z Uniwersytetu Cornell. Przeprowadził setki ankiet wśród Amerykanów i kilka doświadczeń ze studentami w warunkach laboratoryjnych. Wykazał, że przedmioty bardzo nas cieszą, ale tylko w momencie zakupu. Potem ten chwilowy hałas szybko zanika i często pozostawia po sobie niesmak. W końcu zawsze dany gadżet można kupić taniej albo w lepszej wersji. Co więcej, prawdopodobnie pewno ktoś ma już coś nowszego i bardziej pożądanego. Natomiast kupowanie wrażeń, które zapewni nam wycieczka, płyta czy koncert, cieszy dłużej i jest odporne na porównanie z doznaniem innych ludzi.

Znajdź system

Zaangażuj się. Pod koniec XX wieku opisywano, że kluczem do szczęścia jest działanie z pasją. Amerykański psycholog węgierskiego pochodzenia Mihály Csikszentmihályi (sam naukowiec zachęca, by jego trudne nazwisko wymawiać jak zdanie *chick sent*)

stwierdził, że tradycyjne poszukiwanie przyjemności nie ma sensu. Prowadzi jedynie do coraz bardziej desperackiej eskalacji potrzeb. Natomiast prawdziwe zadowolenie z życia może nam dać jedynie zaangażowanie. W co? Najlepiej w sport, hobby, a nawet spotkania z przyjaciółmi. Ważne jedynie, by twoje oddanie się wykonywanej czynności było totalne (nie, nie chodzi o gapienie się w telewizor). Wtedy zapomnisz o bożym świecie, a za to zyskasz długotrwałe uczucie spełnienia. Stan ten Csikszentmihályi nazwał przepływem (po angielsku – *flow*) i zachęca wszystkich do szukania działań, które umożliwiają jego przeżywanie. Im częściej, tym lepiej.

Nie zamartwiaj się. Przeciwnieństwem zadowolenia w chwili obecnej jest planowanie. Wybieganie w przód i myślenie o sytuacjach, które nas dopiero czekają, ma niezwykłą zdolność uprzykrzania nam każdej przyjemnej chwili. Przewidywanie konsekwencji, czyli tworzenie mentalnych wyobrażeń tego, co nastąpi, to co prawda wyraz inteligencji, lecz – jak sądzą amerykańscy psycholodzy z Uniwersytetu Harvarda (Matthew Killingsworth i Daniel Gilbert) – sprawia, że nie dostrzegamy szczęścia tu i teraz. Dlatego strzeż się bezproduktywnego zamartwiania się. Niewiele daje, a zabiera spokój ducha.

Znajdź głębszy sens. Według Martina Seligmana, amerykańskiego psychologa, szczęście ma trzy wymiary. Najprostszy to do-

Tadeusz Pieronek
Biskup

Doczesność to niedosyt

”

Odpowiedź na pytanie o szczęście w życiu człowieka zależy od przestrzeni, w jakiej naszą egzystencję zamykamy. Jeżeli ograniczamy się do życia doczesnego, to osiągnięcie pełnego szczęścia nie jest w nim możliwe. Nawet wtedy, kiedy jesteśmy zdrowi, otoczeni życzliwymi ludźmi, mamy pieniądze, robimy karierę – traktujemy to jako okrucy szczęścia, ale zawsze odczuwamy jakis niedosyt. Uważamy, że przecież mogłoby być jeszcze lepiej. Dlatego nie potrafimy sobie wyobrazić człowieka umierającego, który mógłby powiedzieć, że naprawdę osiągnął szczęście w życiu. Ale jestem przekonany, że te osoby, które przyjmują doczesny koniec ze spokojem i z wiarą, iż chodzi tylko o przejście do nowego, wiecznego życia w Bogu, wybrały właściwą drogę do pełni szczęścia. Z dóbr i radości świata można korzystać do woli, ale trzeba to robić tak, by nie przekreślać nadziei na życie wieczne.



FOT. Paweł Ulatowski/Newspix.pl

świadczanie największej liczby pozytywnych bodźców. Epikureizm w czystej postaci. Drugi to dobre życie, zaangażowanie w sprawy rodzinne, pracę, miłość, hobby (tu psycholog protekcyjnie spogląda w stronę Csikszentmihályiego). Trzeci – i zdaniem Seligmana najbardziej słuszny – to osiągnięcie szczęścia dzięki życiu dla Sprawy. Psycholog nazywa to znalezieniem sensu. Jeśli zależy ci na głębokim, przenikającym całe twoje istnienie uczuciu zadowolenia i spełnienia (filozofowie nazywają ten stan eudajmonią), zostań nauczycielem, adwokatem, pastorem, →



Emilian Kamiński
Aktor

” **Za dużo nie pytać**

Moim zdaniem należy wstawać rano i brać przykład ze zwierząt – budzić się do życia. Dla mnie życie ma wartość samo w sobie. Chyba tylko człowiek zadaje sobie pytania o definicję szczęścia i o to, jak żyć. Ja jestem bliżej naszych braci zwierząt i roślin; staram się za dużo nie pytać, bo kiedy się wciąż dopytuje o sens, łatwo można wszystko zdeprecjonować. Mam ulubiony cytat na ten temat.

Są to słowa mojej koleżanki, góralki Jadzi, która mawiała: „Emilian, życie jest po to, żeby żyć, a nie żyć”. Jestem zwolennikiem takich prostych teorii. Czytałem różnych filozofów, którzy się nad szczęściem i sensem życia zastanawiali. Często wydawało mi się, że wielu z nich było po prostu sfrustrowanymi ludźmi. Kiedy człowiek ma zajęcie, pracuje, dba o dom, o dzieci – idzie do przodu, jest w ruchu. A człowiek musi się ruszać. Zauważyłem, że ci, co mają ze sobą jakiś kłopot, wciąż drążą, pytają, robią z mydła bańki.

FOT. Wojciech Suredziel/AG

→ to wystarczy, do grupy tych, którzy chcą więcej. Ale w pana uwadze dostrzegam założenie, że osiągnięcie jakiegoś jednego celu – na przykład dużych pieniędzy – załatwi wszystko. Ludzie rzeczywiście często myślą, że dodatkowy milion rozwiąże wszystkie ich problemy albo że do szczęścia potrzebny im tylko ten awans, tylko operacja plastyczna. Tyle że to się nie sprawdza, bo pojedynczy sukces nigdy nie da satysfakcji we wszystkich sferach życia.

Może nie potrzeba być spełnionym we wszystkim?

– Z pewnością w jednym trzeba – w kontaktach z innymi ludźmi. Bez powodzenia w nich nie ma dobrego życia i stabilnego poczucia szczęścia. My po prostu musimy dostawać wsparcie i akceptację z ich strony. To właśnie dlatego, że osoby nastawione hedonistycznie rywalizują z innymi, wykorzystują ich do realizacji własnych celów, nie do-

stają wsparcia i akceptacji, nie mają przyjaciół, nie ufają innym – nie są szczęśliwi. To dlatego gonięnie za pieniędzmi, władzą i sławą do szczęścia nie wystarcza.

Tylko czy te kontakty z innymi są naprawdę aż tak potrzebne?

– Człowiek jest istotą społeczną. Bez przyjaciół i bliskich więzi nie tylko jesteśmy mniej szczęśliwi, ale także mniej zdrowi, mniej aktywni i mniej efektywni. Jest to doskonale widoczne w wynikach ostatnich europejskich badań nad wartościami, które analizowałam wraz z socjologką profesor Aleksandrą Jasińską-Kanią oraz psychologiem, specjalistą od kapitału społecznego, doktorem Kamilem Hennem. We wszystkich regionach Europy znaleźliśmy dwa czynniki najsilniej oddziałujące na poziom zadowolenia. To poczucie kontroli nad swoim życiem oraz zaufanie do ludzi.

” **Ludzie mający przyjaciół są zdrowsi, szczęśliwsi i... rzadziej giną w wypadkach**

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA

Czyli mamy uniwersalny wzór na szczęście? Kontrola + zaufanie = szczęście.

– Można tak powiedzieć, choć to oczywiście uproszczenie, bo siła obu tych czynników zmienia się w różnych kulturach. Dodatkowo działają zmienne, których sami nie kontrolujemy – nasze indywidualne, często dziedziczne cechy czy sytuacja społeczna.

Spróbujmy więc trochę podrażnić i sprawdzić, skąd brać te składniki szczęścia.

– Okazuje się, że poziom zadowolenia z życia zależy na przykład od systemu społecznego,

politycznego, w którym żyjemy. W krajach o rządach autorytarnych poziom indywidualnego zadowolenia z życia jest niższy niż w krajach rozwiniętej demokracji. Bardzo wyraźnie widoczny jest wzrost poziomu szczęścia w tych państwach, które wyzwoliły się z systemu komunistycznego. Wprawdzie wciąż jest niższy niż w starych demokracjach, ale zdecydowanie rośnie.

Może po prostu było tak źle, że cokolwiek się dzieje, jest wspaniałe?

– To bardziej złożone. Chodzi raczej o odzyskanie możliwości decydowania o własnym losie oraz zaufanie społeczne – nasze składniki szczęścia. Badania pokazały, że to nie tylko zwykłe ważne, dużo ważniejsze niż na przykład podniesienie poziomu konsumpcji czy wzrost wykształcenia. Ale też tu kryje się pułapka. Bo przez brak zaangażowania w życie społeczne, co jest problemem młodych demokracji, znowu zaczynamy tracić kontro-

lę nad władzą i poziom szczęścia może zacząć opadać. A więc by być szczęśliwym, trzeba dbać o przestrzeganie wspólnie ustalonych reguł i sprawiedliwość. Nasze badania pokazują, iż osoby, które nisko oceniają sprawiedliwość w naszym kraju (na przykład sądzą, że ludzie nie mają tego, na co zasługują, a prawo nie funkcjonuje jak należy), są mniej zadowolone z własnego życia niż osoby, które widzą system jako sprawiedliwy, zgodny z ich wartościami.

Co jeszcze powinniśmy robić, aby być zadowolonym z życia?

– Pomagać innym. Okazuje się, że to bardzo ważny składnik szczęścia – poprawia nam nastrój, daje tak lubiane poczucie wpływu, uczy zaufania. A przede wszystkim kształtuje więzi społeczne i nadaje sens naszym działaniom. Oczywiście wymagane jest tu wyczuwanie – pomaganie może czasem przekształcić się w rodzaj władzy sprawowanej nad dru-

→ politykiem albo lekarzem – te profesje Seligman poleca szczególnie. Jeżeli robisz coś innego, znajdź w tym swoją własną ważną misję.

Nie bądź sam. W ostatnich latach w naukach psychologicznych i społecznych pojawił się wyraźnie nowy trend – odpowiedzią na większość problemów życiowych człowieka ma być po prostu drugi człowiek. A najlepiej kilku. Więzi z najbliższą rodziną, stabilne i bliskie grono przyjaciół, zaangażowanie w życie lokalnej społeczności to najnowsze remedium na wszelkie bolączki. I nie tylko. Okazuje się, że nawet obiektywny sukces i zdrowie na starość przypadają tym, którzy przez całe życie pielęgowali kontakty z innymi.

Potwierza to jedno z pierwszych i największych badań naukowych nad szczęściem – nazywane przez amerykańskich naukowców „The Grant Study”. Przez 68 lat, nie rzadziej

niż raz na 24 miesiące, badano zdrowie, zadowolenie z życia, zarobki i stan cywilny ponad pół tysiąca amerykańskich mężczyzn. Część z nich (237) na początku lat 40. XX wieku studiowała na Harvardzie. Pozostałych (332) wybrano spośród niepełnosprawnych mieszkańców biednych dzielnic Bostonu. Celem badań miało być określenie, jakie czynniki zapewniają życie zdrowe, długie i szczęśliwe. Jak twierdzi szef tego projektu George Vaillant, jedne, co ma znaczenie, to silne i głębokie więzi społeczne. Obserwacja ta dotyczyła obu grup – uprzywilejowanej i ubogiej. Dlatego nie wyrzucaj sobie, gdy zamarzy ci się zrobienie domówki, wyjazd na żagle ze znajomymi albo kolejne piwo z kumplem z podstawówki. Nie miej też do siebie pretensji za wysokie rachunki telefoniczne. Rozmowy i spędzanie czasu z przyjaciółmi to po prostu inwestycja w zdro-

wą przyszłość. Żałuj czasu i pieniędzy spędzone na samotne godziny przed telewizorem lub komputerem.

Liczy się dobra sieć. Nie wystarczy mieć wielu bliskich przyjaciół, by być szczęśliwym. Jeśli oni są smutasami, prawdopodobnie i nam życie nie będzie odpowiadać. Bo szczęście (i niestety jego przeciwieństwo) rozchodzi się jak wirus. Podobnie skłonność do tytu i uzależnień. Wykazali to naukowcy Nicholas A. Christakis i James H. Fowler z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Stworzyli komputerowe symulacje sieci społecznych, dzięki którym zbadali, jak rozkładają się poszczególne cechy wśród bliższych i dalszych znajomych danej osoby. Na tej podstawie oszacowali wpływ otoczenia na samopoczucie. Okazało się, że każdy szczęśliwy znajomy podnosi o 15 procent prawdopodobie-

→ na dużych populacjach w różnych krajach. Wynika z nich, że ludzie mający przyjaciół dłużej żyją, są zdrowsi, a jak już zachorują, to ich rokowania są znacznie lepsze. Takie osoby rzadziej giną w wypadkach samochodowych, bo częściej zapinają pasy, myśląc o tym, że ich śmierć dotknęłaby innych.

Ciekawe wyniki przyniosło też badanie, w którym sprawdzano zachorowania wywołane wirusem opryszczki, który ujawnia się często podczas silnego stresu. Obserwowano w czasie sesji grupę studentów zakażonych tym wirusem. Okazało się, że zachorowali głównie samotni, izolowani, bez przyjaciół, a ci o szerokich kontaktach towarzyskich pozostali zdrowi.

Wszystko to brzmi pięknie, ale wiadomo, że nawet najbliżsi przyjaciele potrafią dopieć nam do żywego.

– Toteż wśród przepisów na dobre i szczęśliwe życie ważne miejsce zajmuje wybaczenie. Ale nie takie bezkrytyczne, nie ciągłe nadstawianie policzka – to jeszcze jedno z nowych odkryć psychologii. Empirycznie potwierdza się zasada, że w bliskich związkach warto wybaczać takie krzywdy, które nie powtarzają się cyklicznie. Kłamstwa, zawinione czy niezawinione błędy, które stają się nagminne, wybaczenia nie są warte, bo to nie przynosi poprawy naszego dobrostanu – ani psychicznego, ani fizycznego. Ale i wieczne wracanie do prawdziwych lub

”Badania pokazują, że w bliskich związkach warto wybaczać tylko takie krzywdy, które nie powtarzają się nagminnie

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA

urojonych krzywd nie ma psychologicznego sensu – wręcz przeciwnie, obniża jakość życia.

Cóż, wybaczenie nie jest chyba naszą najmocniejszą stroną.

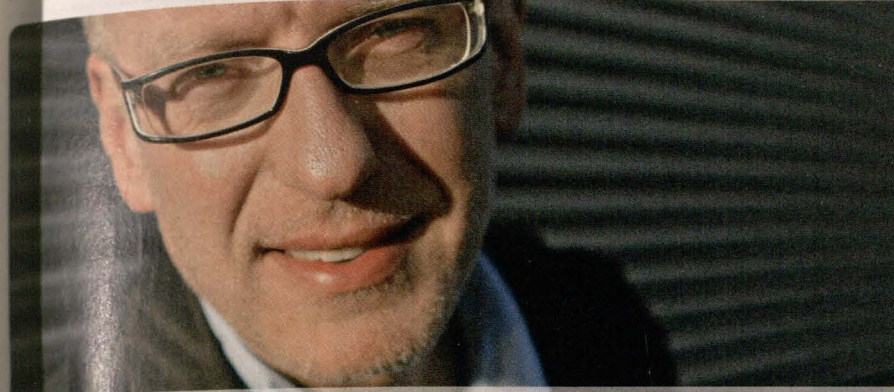
– Rzeczywiście ludzie mają z tym poważny problem. Psychologów i socjologów od dawna nurtowało pytanie, dlaczego tak jest. Pewnego wyjaśnienia dostarczają badania Lee Rossa, psychologa społecznego, który opisał zjawisko znane jako podstawowy błąd atrybucyjny. Polega on na tym, że powszechnie skłonni jesteśmy wyjaśniać postępowanie ludzi ich cechami charakteru i innymi wewnętrznymi przyczynami, jednocześnie nie doceniając znaczenia i wpływu czynników zewnętrznych. Czyli, prościej mówiąc, jeżeli ktoś powiedział czy zrobił coś złego, uznamy raczej, że jest on złośliwy, wredny i głupi, niż że zmusiły go do tego okoliczności. Przy takim nastawieniu trudno jest wybaczyć. Lepszym rozwiązaniem jest zasada wspaniałomyślności atrybucyjnej – nie przypisuj ludziom złych

intencji, zanim nie znajdziesz w danej sytuacji wyjaśnienia ich postępowania. Niby to proste, ale gdybyśmy się faktycznie do tej reguły stosowali, żyłoby się nam znacznie przyjemniej. To moim zdaniem jedna z najważniejszych reguł, która może nam poprawić jakość życia. No i kolejny przyczynek do naszego wzoru na szczęście, kolejny element wpływający na zmienną zaufania.

Im więcej się dowiaduję, tym bardziej mam wrażenie, że bycie szczęśliwym to trudny proces.

– Rzeczywiście, choć zwykle tak o tym nie myślimy, to osiągnięcie szczęścia wymaga sporych kompetencji. Może niektórzy mają je wrodzone, ale większość z nas musi się napracować, by do tego dojść. Badania pokazują, że szczęście człowieka w 50 procentach jest zdeterminowane przez czynniki, na które nie mamy wpływu. To coś jakby wrodzony poziom szczęścia. To, co nas spotyka, powoduje wahnięcia, wzrost lub spadek dobrostanu, ale stosunkowo szybko każdy wraca do tego indywidualnego poziomu. Ale najważniejsze jest to, że pozostałe 50 procent zależy od nas samych. O szczęście należy się starać – naprawdę warto.

Krzysztof Skarżyńska, profesor psychologii. Bada przekonania i postawy społeczne, ich genezę oraz związki z kapitałem społecznym i zadowoleniem z życia. Kieruje Katedrą Psychologii Społecznej w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej i Pracownią Psychologii Politycznej w Instytucie Psychologii PAN.



Mariusz Szczygiel
Dziennikarz

” Szukam, więc piszę

Gdy zbierałem materiały do reportażu o rodzinie Batów [ze zbioru „Gottland” – przyp. red.], spytałem amerykańską sekretarkę Tomasza Bato, czy mogę zadać mu jakieś pytania. Odpowiedziała, że najlepiej, aby pytanie było jedno i ważne. Napisalem więc e-mail: „Szanowny Panie Bato, jak żyć?”. Dostałem odpowiedź: „Trzeba porządnie się uczyć. Spoglądać wokół siebie otwartymi oczyma. Błędów nie powtarzać i wyciągać z nich wnioski. Uczciwie pracować i widzieć nie tylko swój własny zysk. Nie jest to chyba takie trudne?”

Gdyby mnie zapytano, jak żyć, pewnie nic bym nie odpowiedział. Wydaje mi się, że jestem reporterem, bo pisząc o innych ludziach, podświadomie chcę u nich znaleźć odpowiedź na to własne pytanie. To jest motor mojego pisania, a przynajmniej jeden z motorów. Pisząc o Czechach, czasem znajduję pewne

podpowiedzi. Bo o odpowiedź chyba bardzo trudno, a o podpowiedź łatwiej.

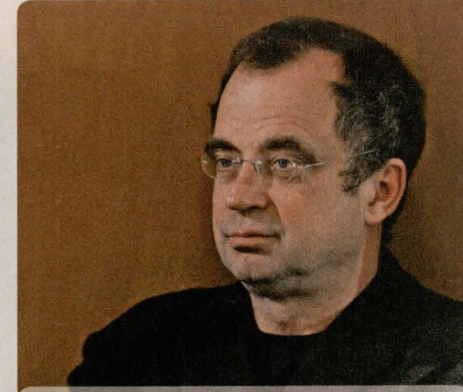
W „Gottlandzie” jedną z bohaterek jest pisarka Lenka Procházková, przez wiele lat zmuszana przez komunistyczny reżim do bycia sprzątaczką. Po upadku komuny dowiedziała się, że trzech jej chłopaków zwerbowanych przez bezpiekę regularnie na nią donosiło. Kiedy spytałem ją, czy czuje do nich nienawiść, odparła, że przeżyła szok, ale nie będzie sobie psuć wspomnień o miłości jakąś nową informacją. Bo co to jest prawda? To, co my przeżyliśmy, czy to, co nam po latach ktoś na ten temat powie? Mówiła, że szkoda jej tych chłopaków, bo stali się częścią jej życia. A gdyby zablokowała swoje uczucia, gdyby nie uśmiechnęła się do jednego z nich w metrze, gdyby nie weszli w jej życie, nie miałiby problemów, a Służba Bezpieczeństwa nie dostarczałaby im pokus. Nie mieli odwagi, ale mieli inne zalety – powiedziała Lenka Procházková. Nie można mierzyć innych swoją miarą. I to ostatnie zdanie jest właśnie jedną z takich podpowiedzi, na które czyham.

stwo, że my też będziemy czuć się szczęśliwi. Nawet samopoczucie kolegi twojego kolegi ma na ciebie wpływ. Dlatego dobieraj grono przyjaciół, a nawet znajomych, bardzo starannie. Wydaje się, że szczęście to nie nasze osobiste doświadczenie, lecz cecha zbiorowa środowiska, w którym żyjemy.

Do końca nie składaj broni

Zyj długo. Badania przeprowadzone w 80 krajach wśród dwóch milionów osób pokazały, że naprawdę warto. Niski poziom zadowolenia z życia dotyka głównie 40-latków. Globalny kryzys wieku średniego? Możliwe. Najważniejsze, że potem jest już lepiej. Z wiekiem coraz sprawniej umiemy odfiltrowywać negatywne emocje oraz doświadczenia i skupiać się na radościach zwykłego dnia. Ten efekt psują dopiero ciężkie choroby, bolesne terapie i inne przykrości związane z późną starością.

Korzystaj z przewagi nad młodszyimi. Niemalże? Wydaje ci się, że wszystkie swoje złowione zwycięży już osiągnąłeś? Otóż nie.



Krzysztof Michalski
Filozof

” Ta demokracja!

A ja podpiszę się pod słowami Boya:

„Dziś, czy prosty, czy krzywy, każdy chce być – szczęśliwy! A to czysta wariacja Ta demokracja!”

for. Wojciech Surdział/AG

Zaufaj naszym wskazówkom. My naprawdę lepiej niż ty wiemy, czego ci potrzeba do szczęścia. Nie to, że jesteśmy tacy mądrzy. To raczej ty, mówiąc delikatnie, nie bardzo wiesz, czego powinieneś chcieć. Czemu? Bo natura skłania nas do tego, byśmy mieli pełne brzuchy i dużo dzieci (niektórych to naprawdę uszczęśliwia), a wolny rynek zachęca do kupowania ponad miarę. A tymczasem musimy pamiętać, że ewolucja ukształtowała nas na długo przedtem, zanim panowie Charles Dowe i Edward Jones wymyślili swój słynny indeks.

Ku naszej dzisiejszej rozpaczli w tym czasie *Homo sapiens* wyewoluował tak, by gonić za szczęściem, a nie być szczęśliwym. Bo błogostan to niebezpieczny balast w wyścigu o przetrwanie i przekazanie swoich genów kolejnym pokoleniom. Gdy nasi przodkowie znaleźli odpowiednią polankę z jagodami, czuli radość i satysfakcję – nagrodę za sukces. Ale to uczucie nie mogło trwać zbyt długo, bo inni zyskaliby przewagę. Ludzie mniej zadowoleni z owocowej diety w końcu porzucili polankę, by znaleźć wygodne miejsce do łowienia ryb w pobliskim strumieniu. Tak to wyglądało kilkaset tysięcy lat temu. Dziś zamiast jagód i pstrągów gromadzimy inne dobra, nie tylko materialne. Ale głównym celem wciąż jest podniesienie pozycji społecznej, czyli zdystansowanie reszty ludzkości w wyścigu pokoleń. A tego zawsze nam będzie mało.

Dlatego nie szukaj za wszelką cenę sukcesu, sławy, bogactwa. Skup się na trenowaniu w byciu szczęśliwym. I korzystaj z naszych rad.

Z wizytą w salonach W.KRUK



Wojciech Kruk, wiceprzewodniczący rady nadzorczej Vistula Group, z żoną Ewą

Poznań, salon W.KRUK przy ulicy Paderewskiego
Szukam kolii z pereł dla mojej żony na 50. rocznicę ślubu. Musi pasować do pierścionka, który kupiłem u was z okazji naszego pierwszego jubileuszu. **Warszawa, salon W.KRUK w Złotych Tarasach:** Chcę kupić pierścionek zaręczynowy z brylantem, ten „jedyne”. Te z pozoru różne sytuacje mają wspólny mianownik – świadomy wybór biżuterii W.KRUK

– Moim marzeniem było, jest i zawsze będzie, aby marka W.KRUK postrzegana była jako polska, prestiżowa firma, numer jeden pod względem jakości, klasy i kultury. Nieprzerwana od 1840 roku praca czterech pokoleń mojej rodziny, otwartość na nowe technologie, podejmowanie wyzwań współczesnych czasów oraz pasja i zaangażowanie w pracę sprawiły, że marzenia te stały się rzeczywistością.

A świadczą o tym fakty – kiedy ktoś wyjeżdża za granicę na stypendium i zostaje zaproszony na kolację do szanowanego profesora, poszukuje prezentu dla jego żony. A co może wziąć z Polski, jeśli nie biżuterię od Kruka? Takie opinie często słyszę od naszych pracowników w salonach – podkreśla Wojciech Kruk, wiceprzewodniczący rady nadzorczej Vistula Group.

W.KRUK to najstarsza firma jubilerska w Polsce, która w zeszłym roku obchodziła 170. rocznicę założenia. Prawie 70 salonów obsługuje codziennie klientów w największych miastach w Polsce. Każdego z dużą troską

i zaangażowaniem. Jak to jest możliwe?

– Klienci kochają nas za zaufanie, unikatowy produkt i najwyższej klasy obsługę – mówi Aldona Sobierajewicz, wiceprezes zarządu Vistula Group. – Już od pierwszego dnia pracy nasi doradcy wprowadzani są w świat biżuterii i zegarków przez wewnętrzny indywidualny proces adaptacji w salonie. Ponadto, cyklicznie i regularnie, doradcy klienta przechodzą wiele profesjonalnych szkoleń zdobywając fachową wiedzę na temat ofertnych w salonach kolekcji i produktów. Stracenia zarządzania i rozwijania personelu opiera się na wypracowanym przez lata, jednakże ustannie udoskonalanym, branżowym know-how. Jako eksperci w dziedzinie biżuterii bierzemy również odpowiedzialność za każdy sprzedany produkt, zapewniając opiekę nad biżuterią i serwis.

Który pierścionek zaręczynowy wybrać? Jaki prezent zakupić dla żony? Każda z tych sytuacji to indywidualna historia, niczym z planu filmowego.

– Prawdziwą przyjemnością jest doradzać panu, który wybiera naszyjnik dla swojej żony z okazji 50. rocznicy ślubu. W trakcie rozmowy dowiadujemy się, że kupował u nas również obrączki oraz prezenty dla żony na kolejne rocznice ślubu. Emocje, które towarzyszą



Salon W.KRUK przy placu Trzech Krzyży – tutaj powstał pierwszy w Polsce butik marki Rolex. W.KRUK jest jedynym przedstawicielem tej marki w Polsce

temu doświadczeniu, są nie do opisania i stanowią niezłomny dowód na to, że uczestniczymy w ważnych momentach życia naszych klientów – mówi Aldona Sobierajewicz. – Szczególną grupą klientów są mężczyźni, którzy poszukują pierścionka zaręczynowego. Nierzadko jest to pierwszy zakup biżuterii z brylantami w ich życiu! Wybierają nasz salon z pełną świadomo-

ścią, że mogą liczyć na profesjonalną konsultację, doradztwo oraz odpowiedź na najbardziej szczegółowe pytania. Kieruje nimi przekonanie, że wybierają wyjątkowy produkt w wyjątkowym miejscu – to buduje niesamowitą atmosferę ponadczasowości dla obu stron.

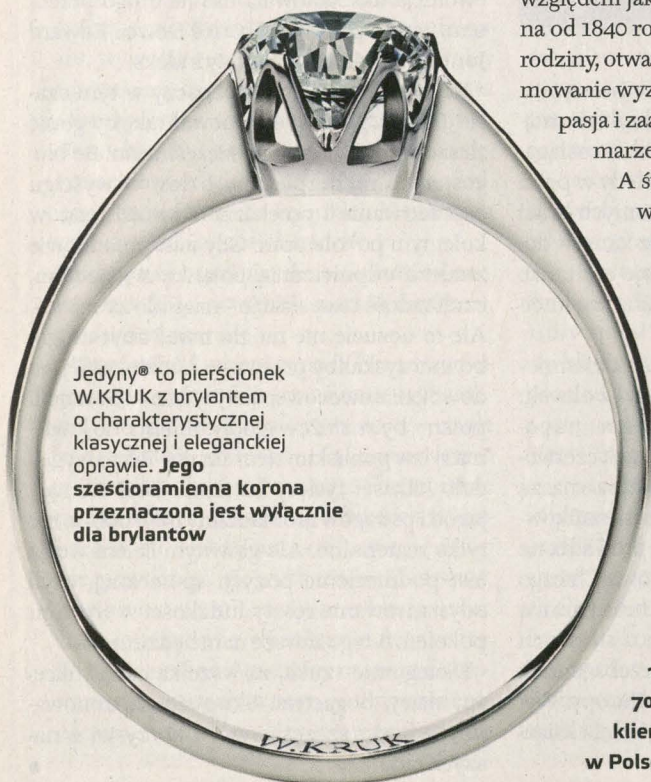
Salony W.KRUK to eleganckie wnętrza i przemyślana ekspozycja. Każdy prezentowany

produkt jest poddany wstępnej selekcji pod kątem jakości i prezencji. Nie ma mowy o przypadkowości i masowym wystawianiu biżuterii.

– Zależy nam, by nasze salony dawały poczucie przebywania w przyjaznym dla klienta miejscu. Wśród wyselekcjonowanej oferty biżuterii każdy znajdzie coś dla siebie, zarówno chłopak, który kupuje drobne kolczyki ze srebra na prezent dla swojej dziewczyny, jak i wymagająca kobieta poszukująca biżuterii z brylantami porównywalnej z najznakomitszymi światowymi markami – mówi Aldona Sobierajewicz.

W.KRUK jako ekspert w dziedzinie biżuterii wyznacza standardy w branży jubilerskiej w kraju. Bazując na wielopokoleniowej tradycji, odważnie kreuje przyszłość, tworząc nowe kolekcje i wprowadzając światowe marki do swoich salonów.

– Jesteśmy jedynym przedstawicielem marki Rolex w Polsce. Jako pierwsi wprowadziliśmy na polski rynek nową technologię, która nadaje biżuterii niezwykłą trwałość. Na każdy sezon proponujemy dedykowane kolekcje inspirowane najnowszymi trendami w modzie. Wiedza, doświadczenie i tradycja determinują nas do odgrywania roli prekursora w branży jubilerskiej – podsumowuje Aldona Sobierajewicz. ●



Jedyny® to pierścionek W.KRUK z brylantem o charakterystycznej klasycznej i eleganckiej oprawie. Jego sześcioramienna korona przeznaczona jest wyłącznie dla brylantów



Aldona Sobierajewicz, wiceprezes zarządu Vistula Group



Brylanty dostępne w salonach W.KRUK to kamienie najwyższej jakości posiadające certyfikat ekspertów

Polska fotografia czeka na swojego Sasnala

Przez lata traktowana była u nas jak ubogi krewny prawdziwego świata sztuki. Dziś zdjęcia polskich artystów trafiają do Museum of Modern Art, zaczynają je zbierać najwięksi kolekcjonerzy - choćby Grażyna Kulczyk, która pokazuje swe zbiory w poznańskim Starym Browarze

TEKST JACEK TOMCZUK

Polski rynek fotografii na razie jest prowincjonalny, brakuje w nim zasad i dobrych wzorów, ale wiele wskazuje, że wkrótce zacznie przypominać ten, na którym handluje się sztuką. A w tym świecie nie występują już słowa „tanio”, „okazja” czy „negocjacje”. Zdaniem pracowników galerii, fotografików i kuratorów to idealny moment dla kreatywnych kolekcjonerów, którzy chcieliby zacząć zbierać polską fotografię. Dziś można kupić dowolną pracę (zarówno historyczną, jak i współczesną), nie ma mowy o kolejkach (jak po płótna Zbigniewa Rogalskiego czy Wilhelma Sasnala) ani o pertraktowaniu z galeriami, które kręcą nosem na początkujących kolekcjonerów. Owszem, fotografia nie jest tak ekskluzywna jak malarstwo (nieszczęsne odbitki, edycje, świadomość, że ktoś będzie miał na ścianie to samo), ale jest za to tańsza. Przełom jest nieuchronny. Po czym najłatwiej go poznać?



Grażyna Kulczyk (w środku) i Zofia Kulik (z prawej), czyli mocny duet kolekcjonersko-artystyczny

- Rynek fotografii ciągle nie może się rozpedzić, na wielki skok czekamy od paru lat, ale dużo wskazuje na to, że może on odbyć się właśnie w tym roku - mówi Rafał Lewandowski z warszawskiej galerii Asymetria. On sam od kilku lat ten skok przygotowuje. Prace wybitnych polskich fotografików powojennych: Zofii Rydet, Jerzego Lewczyńskiego i Marka Piaseckiego, nabędzie dzięki niemu prestiżowe Museum of Modern Art. Do kupowania fotografii wzięli się najbogatsi Polacy (z Grażyną Kulczyk na czele), pojawiły się galerie handlujące zdjęciami, które trzymają się standardów

znanych z rynku sztuki, powstaje pierwsza książkowa kompletna historia polskiej fotografii, która wreszcie zbuduje kanon...

Role model, czyli kto na początek

Polscy milionerzy, którzy kolekcjonują sztukę, zwykle nie chcą kupować fotografii. Mają obsesję na punkcie oryginału. Tomasz Piasecki kolekcjoner i współzałożyciel galerii BWA Warszawa: - Najchętniej kupią olej na płótnie przedstawiający kompozycję abstrakcyjną. Na takie obrazy są w stanie wydać dziesiątki tysięcy złotych. Fotografia budzi ich niechęć

nie wiedzą, ile będzie odbitek, czy ktoś to kontroluje. Jeżeli ten rynek ma ożyć, to przyczynią się do tego poważni gracze, którzy dostrzegą potencjał w kolekcjonowaniu fotografii. Oni dadzą przykład. Potrzebny jest role model - ktoś, kto pokaże ludziom, że zdjęcia są fajne. Tacy ludzie właśnie się pojawili. W zeszłym roku na dwóch wystawach pokazał swe zbiory Cezary Pieczyński, jeden z największych polskich kolekcjonerów sztuki.

swą kolekcję w Wilanowie, dostałem sporo telefonów z propozycjami sprzedaży prac - opowiada wybitny fotograf Tadeusz Rolke.

Kto zbuduje kanon

- Latem w Musée de l'Elysée w Lozannie brałam udział w przygotowaniu wystawy Irvinga Penna. Prace przyjechały w specjalnie zaprojektowanych skrzyniach wyłożonych materiałem przypominającym atlas, rozpakowywano



Surrealistyczny kolaż Zofii Rydet

je w rękawiczkach, przez dwa dni sprawdzano, czy nie uszkodziły się podczas transportu. 140 fotografii traktowano jak poważne dzieła sztuki, zresztą te odbitki kosztują dziś po 180 tysięcy euro - wspomina Agata Ubysz odpowiedzialna w Musée de l'Elysée za organizację wystaw.

A w Polsce? Dopiero pod koniec 2010 roku powstało muzeum fotografii, a więc kto ma budować kanon? Jak ma działać rynek, skoro polska fotografia nie doczekała się jeszcze prężnie działającej instytucji dbającej o spuściznę tego medium. Gdzie są narodowe kolekcje, jakie mają choćby Czesi czy Węgrzy? Nie wiadomo, kto jest pionierem, kto epigonem, jak przebiegają strefy wpływów. Przecież bez odpowiedzi na te pytania trudno ustalić ceny odbitek. - To ostatni moment na utworzenie takiej kolekcji, bo w ciągu najbliższych dwóch lat prace ważnych artystów mogą ulec rozproszaniu. Dobrym sygnałem jest zamiar napisania historii fotografii polskiej przez historyków fotografii - mówi Lewandowski.

- Oczywiście to nie jest tak, że nasza książka ożywi rynek - przekonuje Lech Lechowicz, re-

daktor naukowy „Historii Fotografii Polskiej”. - Ale bardzo pomoże kolekcjonerom. Trudno budować zbiory bez opracowań historycznych, nie wiadomo, na czym się oprzeć.

Książka wyjdzie w 2012 roku, ale są i inne sposoby budowania kanonu.

W listopadzie ubiegłego roku trzy polskie galerie (Asymetria, Czarna i ZPAF i S-ka), po raz pierwszy wzięły udział w najbardziej prestiżowych targach fotografii Paris Photo. - Do Paryża pojechaliliśmy dzięki wsparciu Instytutu Adama Mickiewicza, który rozumiał, że udział komercyjnej galerii na komercyjnych targach też może być formą promocji Polski za granicą. Normalnie nie moglibyśmy sobie pozwolić na zapłacenie 10 tysięcy euro za stoisko liczące 15 metrów kwadratowych, do tego transport prac, ubezpieczenie - wspomina Lewandowski. Przez trzy dni opowiadał o polskiej fotografii najważniejszym osobom w tym środowisku: od kuratorów Museum of Modern Art, Tate Gallery czy Centre Pompidou po kolekcjonerów, przedstawicieli domów aukcyjnych, wydawców albumów... Po trzech dniach stracił głos, ale było warto. W swoim małym gabinecie szczelnie wypełnionym albumami, katalogami i fotografiami wyjmując z biurka plik kilkunastu wizytówek. - W ciągu jednego dnia przyszli ludzie, o których siedząc w Warszawie, mogłem marzyć przez rok. Na Zachodzie są ciekawi naszej fotografii, ale znają tylko Witkacego.

Asymetria pokazała prace Jerzego Lewczyńskiego, Marka Piaseckiego, Zofii Rydet, Józefa Gługowskiego, Zbigniewa Dłubaka. Chęć kupna prac pierwszej trójki zgłosiły bardzo prestiżowe muzea. - Proces zakupu do kolekcji to dosyć długa procedura, ale jeżeli skończy się pomyślnie, będziemy mieć Rydet, Lewczyńskiego i Piaseckiego w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, The Art Institute of Chicago czy Museum of Fine Arts w Houston. Wtedy zacznie się inna rozmowa o ich zdjęciach - mówi Lewandowski.

Efekt Sasnala

Czy polski rynek odmieni zainteresowanie zachodnich kolekcjonerów? W grudniu prestiżowe amsterdamskie muzeum fotografii Huis Marseille zakupiło do swej kolekcji cykl „Gamers” Bownika, młodego (rocznik 1977) fotografa z Warszawy portretującego zawodników na turnieju gier komputerowych. W czerwcu na targach w Bazylei galeria Raster pokaże archiwum polskiego duetu Kwiekulik, w tym również fotografie z performance'ów dokumentujące powstawanie prac. →

→ Lewandowski chce pójść za ciosem, zamierza w tym roku zorganizować rodzaj trasy zachodnich kuratorów i kolekcjonerów (będzie też przedstawiciel renomowanego domu aukcyjnego Sotheby's) po polskich galeriach i pracowniach fotografów. – Po Paris Photo bardziej interesuję się, jak sprzedać polską fotografię na Zachodzie. Widzę, że trzeba nią zainteresować wielkie domy aukcyjne; jeżeli wezmą je na swoje licytacje, usłyszy o nich cały świat – opowiada.

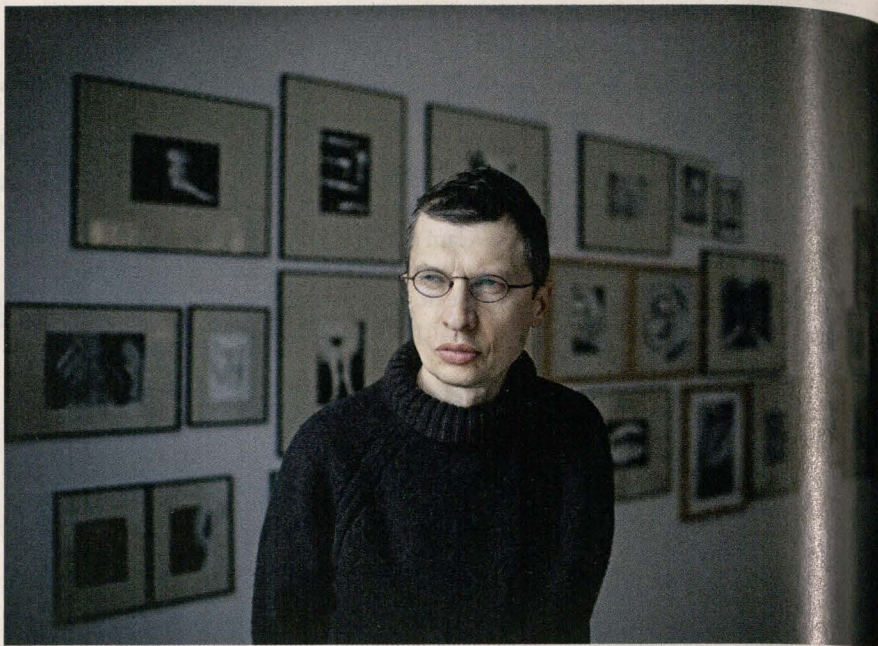
Na razie polskie środowisko doceniło wysiłki Lewandowskiego w Paryżu. Potem, na „koktajlu surrealistycznym” promującym jego najnowszą wystawę mała sala galerii Asymetria pękała w szwach, pojawili się fotografowie, kolekcjonerzy oraz dyrektorzy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie czy Zachęty. Pójdą w ślady MoMA?

Fotografia wciąż czeka na swojego Wilhelma Sasnala, superreprezentanta, który połączyłby sukces artystyczny z komercyjnym, był atrakcyjny dla dzisiejszych kolekcjonerów mających ambicje powieszenia na ścianie czegoś naprawdę oryginalnego. W Polsce fotografia kojarzy się z estetyką czarno-białych kadrów, czymś starczym. Kto przekona do niej młodych kupców? – Czekam na swojego Sasnala, ale się nie doczekam. A już na pewno nie zobaczymy kariery równie szybkiej i spektakularnej. Sytuacja się zmieniła, Polska stała się w miarę normalnym uczestnikiem światowego rynku, artyści budują kariery powoli, spokojnie przechodząc kolejne etapy. Może gdyby któraś z wielkich galerii międzynarodowych albo nasza Fundacja Galerii Foksal postawiła nagle na jakiegoś młodego fotografa stąd, pobudziłoby to wyobraźnię kilku kolekcjonerów. Ale czy wpłynęłoby to trwale na rynek fotografii? Nie jestem przekonany – mówi Tomasz Plata.

Jeszcze inaczej efekt Sasnala wyobraża sobie Lewandowski: – Mamy kilku Sasnala, tylko nieco starszych od tego właściwego. Trzeba ich wypromować, wtedy mogą stać się kołem zamachowym rynku – to zapomniani klasycy polskiej fotografii drugiej połowy XX wieku.

Ceny, czyli jak nie przepłacić

A jak wygląda rynek fotografii dziś, przed wielką zmianą? – Przypomina arabski targ. Gdy ktoś zgłasza się do mnie po odbitkę, patrzę, kto to jest, ile może mi zapłacić. Wtedy ustalę cenę. Po wystawie w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej jedna pani chciała kupić zdjęcie, ale nie było jej stać. Niedawno spotkałem ją i powiedziała, że ciągle zbiera. Kiedy zadzwoni następnym razem, pewnie opuszczę cenę – śmieje się Tadeusz Rolke.



Rafał Lewandowski: – Najcenniejsze są odbitki zrobione przez samych artystów

Pieniądze to kłopotliwy temat, prawie nikt nie chce podawać konkretnych sum. Lewandowski nie chce powiedzieć, za ile sprzedaje prace polskich fotografów do kolekcji MoMA. Rolke – na ile wycenia swoje, a kolekcjonerzy – za ile kupują.

Co do jednego wszyscy się zgadzają: bardzo tania jest fotografia historyczna. Rafał Lewandowski wyjmuje z szafy katalogi aukcyjne i nie może się nadziwić: – Portret Jerzego Lewczyńskiego młodego Zdzisława Beksińskiego – 2200 złotych. A fotografia Ivo Nikicia – 5600 złotych. Nie może być tak, że klasyki fotografii polskiej idą za pół ceny, którą się płaci za współczesne nazwiska. To psuje rynek.

Większe zamieszanie panuje w cenach młodych fotografów, tutaj są dwie tendencje. – Robię mnóstwo zdjęć i mogę sobie po-

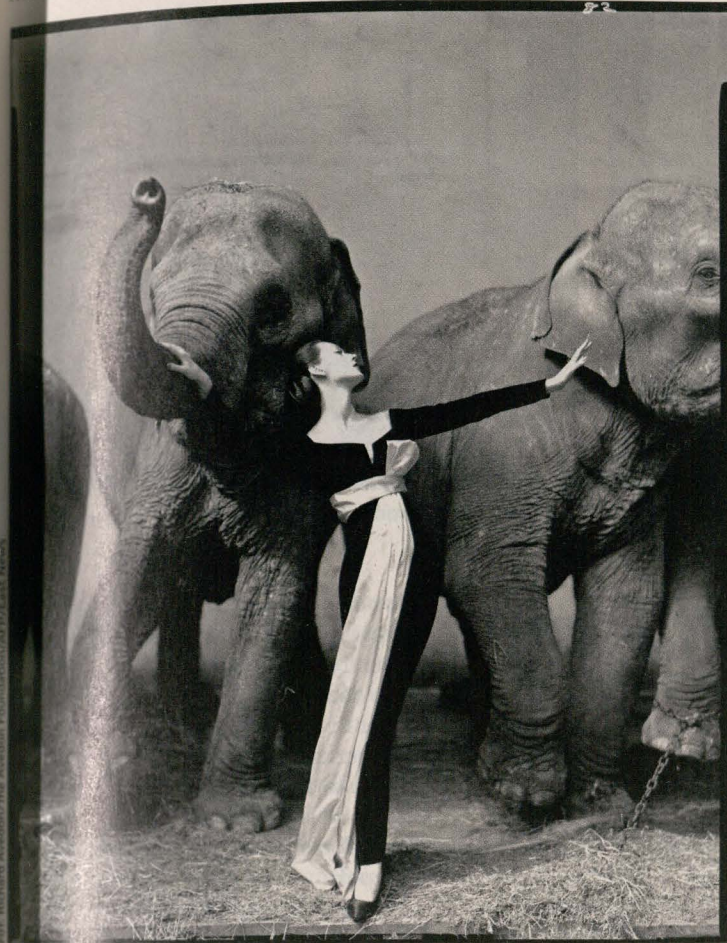
Jak kupować, by nie przepłacać?

- **Unikać tradycyjnych aukcji**, tam jest najdrożej. Wyjątkiem są aukcje charytatywne, na które twórcy nie dają zwykle swych najlepszych prac, a ceny wywoławcze mają zachęcić do ich sprzedania.
- **Docierać bezpośrednio do fotografów** – tylko niewielu reprezentują galerie, sami więc mogą dysponować swoimi pracami.
- **Odwiedzać kiermasze** organizowane przez galerie fotografii. Na spotkaniu Fundacji Archeologii Fotografii w grudniu można było kupić prace Anny Beaty Bohdziewicz, Tomasz Tomaszewskiego czy Tomasz Sikory za 250 złotych.

zwolnić na krótkie edycje (pięć sztuk) i niższą cenę (500 złotych). Jak ją ustaliłem? Pomysłem dla siebie albo na lepszy prezent dla kogoś na urodziny, ślub... No i wyszło mi tyle. W sprzedaży trzy odbitki taniej niż jedną drogą. Poważni kolekcjonerzy najczęściej kupują kilka zdjęć i budują z nich minizestawy, chodzi o to samo – opowiada fotograf Kuba Dąbrowski, wykładowca Akademii Fotografii w Warszawie, który w „Przekroju” prowadzi rubrykę „Stopklatka”. – Jak mnie znajdziecie, to nie bójcie się pytać. Przez stronę internetową: pytają i są zdziwieni, że tak szybko można to załatwić. Chyba niektórzy bywają rozczarowani, że za taką kwotę dostają zdjęcie w formacie 24x36. Piszą, że za tyle mogą kupić duży plakat z Ikea. Ich wybór.

W styczniu Kuba Dąbrowski sprzedał 100 odbitek.

Druga szkoła winduje swoje ceny do kilkunastokrotnie wyższych. Młodzi fotografowie chcą uciec z getta fotografii, zależy im, by być w świecie sztuki, to on daje im prestiż i duże pieniądze. – Te ceny to nie jest mity, zasłona dymna, dobra mina do gry. 80 procent rozmów z młodymi fotografami polega na namówieniu ich, aby w ogóle chcieli zrobić odbitkę kolekcjonerską. W bezpośredniej rozmowie trzeba się targować. Cztery–pięć tysięcy złotych czy nawet więcej to rozsądne ceny tylko w przypadku prac twórców reprezentowanych przez poważne galerie, w dodatku raczej artystów wizerunkowo wykorzystujących fotografię jako jedno



841 tysięcy dolarów za odbitkę Richarda Avedona. To cenowy rekord świata w 2010 roku

ze swoich mediów. Taki status mają Aneta Grzeszykowska czy Nicolas Groszperre.

Czy to oryginał?

– Ludzie nie mają zaufania do fotografii, bo ona pozornie „wyklucza” wyjątkowość, oryginalność. Myślą, że zdjęcie można w nieskończoność powielać i sprzedawać, więc za to tu płacić, a przecież liczba odbitek najczęściej jest ograniczona – mówi Piotr Bazylko, kolekcjoner. Każdy szanujący się fotograf czy galeria ustala, ile odbitek zostanie wykonanych z danego kadru, na przykład 5, 10 lub 20. Potem każda odbitka zostaje sygnowana przez autora i ponumerowana.

A kto to kontroluje? – Nikt – odpowiada Cezary Pieczyński. – Każda szanująca się galeria i każdy artysta muszą trzymać się ustaleń. Jeśli zapowiadają, że na rynku znajdzie się edycja 15 odbitek, a pojawi się 30, ludzie tracą do nich zaufanie.

Nie ma innych zabezpieczeń? Na Zachodzie niszczy się negatyw, z którego skończyła się już edycja: zamalowuje mazakiem lub wycina. W Polsce jeszcze nie ma takich twardych zasad. Zwłaszcza w fotografii cyfrowej.

Ale trzeba przyznać, że na brak zaufania polscy fotografowie sobie zaszereżyli, bo u nas nie było tradycji sprzedawania fotografii, wykonywania precyzyjnych edycji. Fotografowie w PRL żyli raczej z pracy dla pism niż ze sprzedaży zdjęć. Wszyscy dopiero się tego uczą. Tomasz Plata: – Gdybyśmy wystawę Tadeusza Rolkego w Le Guern i wybraliśmy jego kanon, 50 zdjęć, i pytaliśmy, ile wykonał odbitek poszczególnych kadrów, często sam nie wiedział. Policzyliśmy od początku.

Kuba Dąbrowski sprawę widzi jeszcze inaczej: – Przekleństwo i błogosławieństwo fotografii polega na tym, że sam autor decyduje, co jest oryginałem, a co nie. Może to być

Słowniczek

Vintage print, czyli odbitka współczesna negatywowi, zwana także zdjęciem z epoki, wykonana przez autora lub pod jego okiem; datowana i często sygnowana na przedniej stronie lub od tyłu albo na papierze podkładowym, do którego została przy-

mocowana, jak również na passe-partout. Najdroższa i najbardziej poszukiwana.

Life time print, czyli odbitki z przedłużonego czasu, to odbitki wykonane z oryginalnego negatywu (ale nie w czasie jego powstania, tylko przynajmniej 10 lat później) osobście przez autora lub pod jego nad-

książka, odbitka, gazeta. Oczywiście można kupić za ileś tam tysięcy dolarów odbitkę zdjęcia Amerykanów lądujących w Normandii w 1944 roku autorstwa Roberta Capy. Ale czy to będzie oryginał? Czy oryginałem nie jest w tym wypadku numer „Life’a” z tym zdjęciem na okładce? Gdyby mnie było stać, kupiłbym to czasopismo, a nie odbitkę.

Zacząć od zdjęć

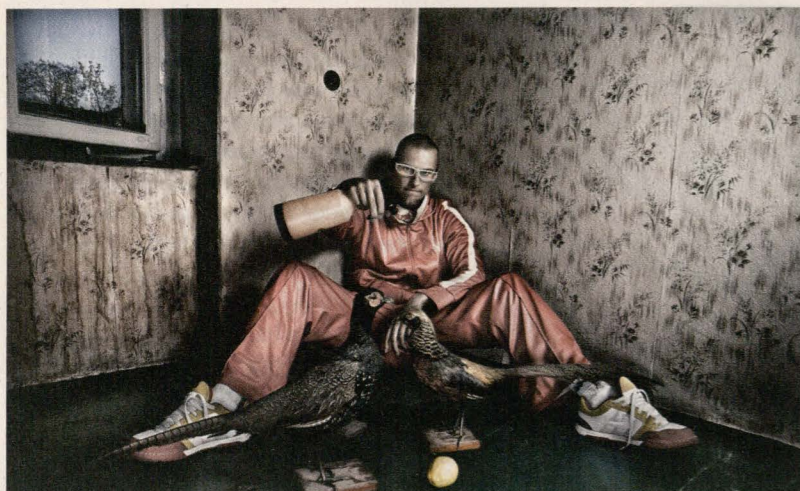
Fotografia to najbardziej rozpoznane medium dla dzisiejszych odbiorców kultury, może być rodzajem przepustki do świata sztuki. – W ostatnie wakacje w galerii Le Guern zestawiliśmy zdjęcia Tadeusza Rolkego z obrazami abstrakcyjnymi, tam było parę wybitnych płócien, między innymi Tomasza Ciecińskiego i Włodzimierza Zakrzewskiego. I widzieliśmy, jak ludzie reagują. Zdjęcia działały od razu. A z malarstwem był kłopot. Fotografia okazuje się dużo bardziej dostępna, intuicyjnie zrozumiała, można powiedzieć: demokratyczna. Łatwiej zbudować z nią relację emocjonalną – wspomina Plata.

Jego zdaniem ludzie nie zaczęli kupować fotografii, bo nie wiedzą, jak bardzo jest tania i dostępna. Za 15 tysięcy można kupić obraz średnio znanego malarza albo pięć zdjęć ze słynnego „Happeningu morskiego” Eustachego Kossakowskiego i mieć dokumentację jednego z najważniejszych wydarzeń w polskiej sztuce XX wieku.

W połowie grudnia ubiegłego roku na aukcji Desy „Kartka z podróży” (1965) ze szkicem pierwszego liczonego obrazu Romana Opalki została sprzedana za 95 tysięcy złotych. Za taką kwotę można mieć dziś cały kanon polskiej fotografii! Czyli: Grupę Gliwicką, Dhubaka, Kossakowskiego, Rolkego, Rydet, lata 70., coś z Warsztatu Formy Filmowej. Dobrze mieć Zofię Kulik, Zbigniewa Liberę. I młodych: Anetę Grzeszykowską, Jana Smagę, Nicolasa Groszperre’a, Konrada Pustolę... – To najlepsze czasy dla odważnych kolekcjonerów, przecież wystarczy wybrać, wokół jakiego tematu, nazwiska, okresu chce się budować zbiór, i to robić – mówi Lechowicz. ●

zorem. Informacja ta powinna zostać zapisana w katalogu w formie: rok negatywu/rok powstania odbitki, na przykład 1966 (n)/2010.

Reprint, czyli wznowienie, to odbitki powstałe z oryginalnego negatywu bez udziału autora, wykonywane najczęściej po jego śmierci.



L.U.C. szczęśliwie postawił na obróbkę historycznych cytatów



Lao Che, pionierzy rocka powstańczego, na zbiórce przed akcją



PJ Harvey ostatnio pragnie wstrząsnąć Anglią...



...a Tomasz Budzyński z Armii wybiera dwa nagie miecze. I chyba dobrze mu z tym

Czad patriotów

Polscy muzycy o ojczyźnie przypominają sobie najchętniej w okrągłe rocznice. Z reguły tylko wtedy na koń siadają i szabli dobywają

JAREK SZUBRYCHT

Minęły dni tańca” – straszy Anglików PJ Harvey w tytułowym utworze ze swojej najnowszej płyty „Let England Shake”. Jakie są pierwsze reakcje na to nowe, zatroskane losom ojczyzny oblicze artystki? W jej kraju – wyłącznie entuzjastyczne. Dobrze trafiła w nastroje rodaków, którzy od kilku lat zastanawiają się, dokąd zmierza ich eksimperium i czy aby na pewno jest to świetlana przyszłość. Ciekawe, czy równie łatwo byłoby PJ zostać prorokiem w naszym kraju...

Mieszkam tu, tu, tu

Gdy hartowała się w naszym kraju rockowa stal, w latach 80., więcej chyba powstawało piosenek o zabarwieniu społecznym niż tych o miłości. Od ezopowej mowy tekstów ówczesnych gwiazd, z Lady Pank i Perfectem na czele, po wyrażony wprost gniew byłalców Jarocina – wszyscy zajmowali się Polską. Wtedy powstały takie pokoleniowe hymny jak „Polska” Kultu (po latach, właśnie teraz Kazik Staszewski zaśpiewał swoją wersję „Janek Wiśniewski padł” w filmie „Czarny czwartek” Antoniego Krauzego) czy „Nie pytaj o Polskę”

Obywatela G.C., których słowa powtarzaliśmy za idolami. Potem nagle coś się zmieniło.

Na początku lat 90. muzykę rockową i pop zdominowały eskapistyczne teksty o rozterkach podmiotu lirycznego. Coś drgnęło wraz z pojawieniem się polskiego hip-hopu, ale większość raperów długo skupiała się na narzekaniu. – Trudno było o tak konkretne wroga jak w poprzednim ustroju – tłumaczy Robert Brylewski, który z komentowania rzeczywistości społecznej i politycznej nigdy nie zrezygnował. – Wtedy nasza walka miała wymiar wręcz duchowy. W Jarocinie i okolicach pełno było kapel, które poruszały tematykę polityczną czy społeczną aż po radykalne, anarchistyczne poglądy. Inna sprawa, że o tych tekstach mało kto wiedział, to były koncerty dla 50 czy 70 osób. Dzisiaj cele są rozproszone, artyści kierują energię w różne strony, ale przyszedł chyba czas, kiedy wszyscy czują zmęczenie nowym systemem.

Tramwajem jadę na wojnę

Pierwsza wychyliła się grupa Lao Che. Kiedy niemal dekadę temu muzycy wyjawili, że planują album koncepcyjny z romantyczną wizją

powstania warszawskiego, wszyscy pukali w czoło. Na początku 2002 roku był to bardzo ekscentryczny pomysł – żyliśmy w innej Polsce. Władzą dzielili się Leszek Miller i Aleksander Kwaśniewski, Platforma Obywatelska i PiS raczkowały. Patriotyzm wyrażany *et cetera* kojarzył się młodym ludziom średnio albo ze skinowskimi demonstracjami albo z akademiami ku czci rodem z poprzedniej epoki.

Ale „Powstanie warszawskie” to czasochłorny projekt i zanim płyta ujrzała światło dzienne, kraj bardzo się zmienił. Ze swoim drugim albumem Lao Che wylądowali w samym środku zawieruchy wokół IV Rzeczypospolitej i burzliwej debaty o historii trzech poprzednich. Poza tym płyta dość nieoczekiwanie odpowiedziała na nową potrzebę młodych ludzi – poszukiwanie tożsamości w tej globalnej wiosce, do której wszyscy zyskali nieograniczony dostęp. Tu wypadłoby napisać, że tropem Lao Che poszli inni, ale to nieprawda. Choć trudno było „Powstanie warszawskie” nie zauważyć, niewiele artystów potrafiło wyciągnąć wnioski. Trzeba było szwedzkich metalowców z Sabaton, by usłodzić polskim muzykom, że historia ma być źródłem inspiracji. I może się okazać...

Choć Sabaton – podobnie jak Lao Che – nie sposób podejrzewać o wyrachowanie. Po prostu wymyślili sobie płytę z opisami kilku scenujących epizodów z II wojny światowej. Równie imponował im feldmarszałek Rudolf Holm, co Sowietom pod Kurskiem. Oraz obywatel, który walczył z Niemcami w lasach, czy Wizny, ta garstka, która przez kilka dni odparowała natarcie trzech dywizji generała Guderiana. Do utworu „40:1” powstał amerykański teledysk, trafił na YouTube i... zaczęła się

Na Sabaton posypały się honory – tu szabla od biskupa, tam order od polityka, wszędzie kwiaty od rumianych polskich dziewcząt. – WUSA ballady gloryfikujące Amerykę wchodzi na listy przebojów. U nas... też – śmieje się Lech Makowiecki, weteran piosenki studenckiej polskiego country, od lat nagrywający patriotyczne ballady, między innymi przebój Internetu „Katyń 1940 – ostatni list”. – Cieszę się, że Sabaton przypomniał młodym Polakom o chwilach chwały polskiego oręża.

Tej lekcji rodzimi artyści już nie przespałi, dochodząc do słusznego wniosku, że nie będzie im Szwed śmietanki spijał. Liczba projektów muzycznych nasączonych krwią polskich bohaterów przekroczyła w ostatnich dwóch latach oczekiwania i nie wszystkie sprawiły wrażenie robionych z porywu serca. Ale skoro przy okazji kilku okrągłych rocznic – 70 lat od wybuchu II wojny światowej, 20 od kontraktowych wyborów, potem 600-lecie Grunwaldu – można było dostać trochę publicznego grosza i skupić na sobie zainteresowanie mediów, to trudno kogoś potępić w czambuł, że zdecydował się z tego skorzystać.

Przy okazji potwierdziło się dramatyczne położenie polskich artystów. Choćby robiłi rzeczy niesłychanie ambitne, pies z kulawą noga się nimi nie zainteresuje, minister kiesy nie otworzy, telewizja do studia nie zaprosi. Wystarczy jednak, że ten sam muzyk weźmie udział w akademii – i już są fundusze, i już wszędzie go pełno... Skorzystali na tym przede wszystkim artyści z Holy Smoke, którzy upojeni sukcesem piosenki o Wałęsie („Nobla mu dali nie za naukę/Ale za pokój – za wielką sztukę”) upichcili podobne songi o wrześniu 1939 roku i pacyfikacji kopalni Wujek. Ale i starzy wyjadacze z Budki Sufle-

ra próbowali podobnej sztuczki, wrzucając singel – „Sięgnąć gwiazd”, dedykowany tym, co obalili komunizm – na YouTube. Tyle tylko, że zrobiony na kolanie teledysk ze ścinków kronik filmowych przystoi ambitnym amatorom, a nie jednemu z najpopularniejszych zespołów w historii polskiego rocka.

Uważaj na siebie, bracie

Lepiej przygotowali się wrocławski raper L.U.C., którego projekt „39/89 Zrozumieć Polskę” to znakomite, filmowo-hipopowe podkłady do mrozących krew w żyłach historycznych cytatów, czy De Press, którzy dawno nie wykrzesali z siebie tyle energii, co na złożonej z rockowych interpretacji partyzanckich pieśni płycie „Myśmy rebelianci” (ostatnio ich wykonanie „Boże coś Polskę” usłyszeliśmy w filmie „Mgła”). Oryginalne podejście do tematu zaprezentowała krakowska grupa Sane, która przedstawiła alternatywną wersję historii, bombardując Berlin w 1939 roku. Pola Grunwaldu zdecydowała się odwiedzić Armia, nagrywając na zamówienie Ministerstwa Kultury hymn „Jeszcze raz, jeszcze dziś”. Jakież było zdziwienie – i jak energiczny protest! – muzyków, kiedy okazało się, że ich pieśń tak bardzo spodobała się narodowcom z ONR, że postanowili wykorzystać ją do promocji swojego marszu z okazji Święta Niepodległości.

Bo polityka i okolice to grząski grunt. Przekonali się o tym chociażby amerykańscy rockmani z Bruce'em Springsteenem na czele, którzy tak bardzo ukochali Baracka Obamę, że niektórych piosenek napisanych w przedwyborczym uniesieniu nie sposób dziś słuchać bez kpiącego uśmiechu. W Polsce artyści mają jeszcze gorzej. Trudno publicznie troszczyć się o kraj, w którym dwie zwarte w śmier-

telnym kłinczu partii zawłaszczyły niemal całą przestrzeń debaty publicznej. Dużej odwagi wymagało więc od katowickiej Muariolany zamieszczenie na nowej płycie utworu „Przerwany lot”. – Dwa dni po katastrofie rozmawiałem z bratem, który akurat leciał służbowo za granicę. Powiedziałem mu coś w rodzaju: „uważaj na siebie, bracie, w samolocie”. Nigdy nie bałem się, że może mu się coś stać. Ale wtedy w Polsce nie mówiło się i nie myślało prawie o niczym innym. I jeszcze ten pył wulkaniczny z Islandii. Latanie było wtedy ryzykowne. Ten tekst nie powstał jako hołd dla ofiar katastrofy smoleńskiej – zapewnia Marcin Babko, wokalista Muariolany. – Przed premierą płyty wystosowaliśmy oświadczenie na temat tej piosenki. To nie jest manifest polityczny. Nie interesuje mnie polityka, moje piosenki mówią o mnie. Ta ma dodawać siły i nadziei, a nie budzić kontrowersje.

Oświadczenie oświadczeniem, ale tylko partię, jak podniesie się larum, że profanują pamięć ofiar smoleńskiej katastrofy. Albo dla odmiany ktoś postanowi wspomóc się tą piosenką w kampanii wyborczej. Nie wiadomo, który scenariusz byłby gorszy dla zespołu... Makowiecki nie widzi takiego zagrożenia. – Żadna partia nie finansuje moich nagrań, więc mam pełen luzik i swobodę twórczą. Gorzej, gdy któraś zacznie mi zabraniać tego, co robię – dodaje. – Ale wtedy potraktuję ją piosenką.

A co, jeśli publiczność zmęczona skaczącymi sobie do gardeł politykami nie będzie chciała o tym wszystkim słuchać? – Nie mam obowiązku śpiewać ludziom tego, co chcą – śmieje się Robert Brylewski. – To artysta decyduje o tym, co jest ważne i co chce im powiedzieć.

Debiut 2.011

JAN KOMASA nakręcił „Salę samobójców”, film o miłości i samotności w czasach Skype’a oraz Facebooka. Festiwal w Berlinie lubi to. Jan Komasa dołączył do grupy Najzdolniejsi Polscy Reżyserzy. Obejrzyj jego profil

OLA SALWA

Dziesiątego lutego startuje festiwal filmowy w Berlinie. Trzeciego dnia imprezy „Sala samobójców” otworzy sekcję konkursową Panorama Special, która tradycyjnie prezentuje filmy o tematyce społecznej, mające zarazem szansę na znaczącą frekwencję w kinach.

Wieland Speck, selekcjoner festiwalu: – Film Komasy ma dużą szansę spodobać się berlińskiej publiczności, która lubi gorące społeczne tematy, takie jak samotność, szukanie tożsamości seksualnej, uzależnienie od portali społecznościowych i Internetu.

29-letni Jan Komasa jest pierwszym polskim reżyserem, którego pełnometrażowy debiut zostanie wyświetlony w sekcji konkursowej jednego z trzech najważniejszych festiwali filmowych na świecie. Nick Holdsworth z branżowej wyroczni „Variety”, który zobaczył w maju w Cannes fragmenty niegotowej jeszcze „Sali...”, zaliczył reżysera do grona pięciu najciekawszych polskich twórców pokolenia obok Małgorzaty Szumowskiej i Borysa Lankosza. Co jest wyjątkowego w filmie młodego reżysera? Choćby połączenie żywego planu z zaawansowaną technicznie animacją komputerową. Komasa przenosi na około 25 minut (ze 110) akcję swojego filmu do świata wirtualnego, który zamieszkują awatary głównych bohaterów. Atrakcyjne opakowanie kryje opowieść o współczesnych maturzystach, która jest na tyle uniwersalna, że mogłaby się wydarzyć równie dobrze w Lyonie, Kopenhadze lub Oslo. Pozbawiony prowincjonalnych kompleksów film Polaka może – i będzie – konkurować z 14 filmami z całego świata.

Jan Komasa. Tablica

Jan Komasa przyszedł do producenta Jerzego Kapuścińskiego z fragmentem scenariusza „Sali samobójców” ponad trzy lata temu.

– Od razu było wiadomo, że ma pisać dalej. Janek nie boi się tematów społecznych, ale wkłada je w precyzyjną, autorską formę. Wróżę mu wielką karierę.

Nasza rozmowa z Komasa odbyła się oczywiście przez Skype’a, gdzie reżyser ma założone konto pod nazwiskiem głównego bohatera „Sali samobójców”, czyli Dominika Karwowskiego (choć w filmie ostatecznie pojawia się inne nazwisko). Rozmowa z nim przypomina wyszukiwanie informacji przez Google’a. Po wrzuceniu zapytania (na przykład o inspiracje) pojawiają się liczne wyniki (Japonia, manga, artykuł w „Wysokich Obcasach” o matce nastoletniej samobójczyni, „Cierpienia młodego Wertera”, „Hamlet”, po-

„*Jasiek jest znakomitym obserwatorem, ma zmysł dokumentalisty, wrażliwość na prawdę, a jednocześnie potrafi przetworzyć to, co widzi, w autorską opowieść*”

RADOSŁAW ŁADCZUK

ezja Sylvii Plath, kultura emo, „Słoń” Gusa van Santa, własne pomysły na kilka filmów skomponowane do jednego scenariusza). Paradoksalnie ta różnorodność układa się w spójną całość, a reżyser pomimo pozornego chaosu wie, o czym chce opowiedzieć i w jaki sposób. Na przykład japońskie inspiracje pojawiają się nie tylko w formie (animacja komputerowa jest stylizowana na mangę), ale i w treści. *dominik_karwowski: Fascynuje mnie zjawisko „brakującego miliona”, hikikomori. Młodzi Japończycy wycofują się ze świata, izolują się w domach. Zachod-*

nie cywilizacje dużo ściągają z Japonii, choćby system zarządzania, więc założyliśmy, że i to zjawisko do nas dotrze. Film przypomina wizualnie grę komputerową, bo reżyser musi się dziś bić o uwagę widza w świecie gier.

Adam Ferency, z którym Komasa pracował przy realizacji telewizyjnego spektaklu „Golgota wrocławska”, tak wspomina pierwsze spotkanie z nim: – Wygląda jak dzieciak, ale kiedy zaczyna mówić, zamienia się w dojrzałego człowieka. Ujął mnie od razu. Po 15 minutach rozmowy byliśmy zakolegowani, a na koniec zaprzyjaźnieni.

Jakub Gierszał (gra w „Sali...” główną rolę) wcześniej widzieliśmy go we „Wszystko co kocham” Jacka Borcucha: – Janek nosił w kieszeni banknotów w różnych kolorach, czasem zapomina komórki czy plecaka, w pracy skupiony, stara się nie odbiegać od tematu, nie rozpraszać.

Radosław Ładczuk, operator „Sali...”: – Janek jest znakomitym obserwatorem, ma zmysł dokumentalisty, wrażliwość na prawdę, a jednocześnie potrafi przetworzyć to, co widzi, w autorską opowieść. Śmiało też korzysta ze współczesnych mediów.

Na plan zdjęciowy Komasa wszedł gotownie przygotowany, na wylot poznał świat, który chciał pokazać. Przed „Salą samobójców” miesiącami czytał blogi i fora na temat awatarów, przeczesywał YouTube, a aktorów podrzucał książki, zabierał ich na spotkania z ludźmi podobnymi do ich bohaterów – blogerami i uprzywilejowanymi. Razem z filmową rodziną (oprócz Gierszała składa się ona z Agaty Kuleszy i Krzysztofa Pieczyńskiego) chodził na brunchy do drogiej restauracji, aby przyjrzeć się, co jada polska klasa wycieczna, jak się zachowuje, jakie panują w niej zwyczaje. Gierszał wysłał na kilka dni do siebie zapachy. Tutaj nastąpiło magiczne dotknięcie, bo wszyscy troje wybraliśmy zapachy należące do tej samej „rodziny”. Niewielu reżyserów w Polsce poświęca tyle czasu i uwagi aktorom.



Jan Komasa patrzy z podziwem na czterech reżyserów: Polańskiego, Coppole, Scorsese i Wellesa

dwojga uczniów trafił potem do filmu. Na zachodzie taki styl pracy to norma, w Polsce, gdzie na wszystko jest za mało czasu i pieniędzy, to wciąż rzadkość.

Krzysztof Pieczyński: – Pracowałem nie tylko z naszą świadomością, ale i podświadomością. Kiedyś zabrałem Agatę, Kubę i mnie do perfumerii, w której mieliśmy wybrać dla siebie zapachy. Tutaj nastąpiło magiczne dotknięcie, bo wszyscy troje wybraliśmy zapachy należące do tej samej „rodziny”. Niewielu reżyserów w Polsce poświęca tyle czasu i uwagi aktorom.

Efekty przygotowań widać na ekranie: każdy obraz z filmowego świata tchnie autentycznością, jakby był zarejestrowany kamerą przemysłową. Oczywiście w HD i z animowanymi wstawkami.

Jan Komasa info

Pracował(a) nad etiudami „Fajnie, że jesteś”, segmentem „Warszawa” z „Ody do radości”, dokumentem „Splyw” (scenariusz i reżyseria), Teatrem Telewizji „Golgota wrocławska” (reżyseria). Studiował(a) w PWSFTViT Łódź.

Mieszka w: Warszawa, Polska. Urodzony(a) 28 października 1981 w Poznaniu.

Jan Komasa wychował się w artystycznym domu. Jego ojcem jest Wiesław Komasa, wykładowca warszawskiej Akademii Teatralnej, charyzmatyczny aktor przed laty związany z teatrem Janusza Wiśniewskiego w Poznaniu, rzadko pojawiający się w kinie. Dla syna zrobił wyjątek – zagrał wzorowaną na Szekspirowskim Poloniuszu postać dyrektora liceum, w którym uczy się główny bohater „Sali...”.

*dominik_karwowski: Rozumieliśmy się na planie bez słów, ale na wszelki wypadek zwracałem się do niego „panie Wiesławie”. W filmie pojawia się też trójka młodszego rodzeństwa reżysera: śpiewak operowy Szymon oraz siostry Zofia i Maria. Sam Janek początkowo miał zostać pianistą. *dominik_karwowski: Dobrze się zapowiadałem, ale nie mogłem znieść występów na scenie.**

Jako nastolatek buntował się „na wszelki wypadek przeciwko wszystkiemu”, warszawskie liceum imienia Cervantesa opuścił, bo groził mu konflikt z polonistką. Malował graffiti, kolegował się z hiphopowcami (między innymi z Pezetem), których świat potem pokazał w „Warszawie”. Po maturze zdał na filozofię, którą rzucił po roku, dostał się też na reżyserię w łódzkiej szkole filmowej, której wciąż nie ukończył, a „Salę samobójców” nazywa żartobliwie swoim filmem dyplomowym. Wsparcie szkoły nigdy zresztą nie było mu potrzebne. Gdy inni narzekali na ciężki los polskich filmowców, Komasa nie czekał, aż ktoś go odkryje. Wzorem europejskich i amerykańskich kolegów sam zajął się promocją swojej twórczości. Już na drugim roku na własny koszt wysłał etiudę „Fajnie, że jesteś” selekcjonerom konkursu filmów studenckich Cinéfondation na festiwalu w Cannes. Dostał trzecią nagrodę. W Berlinie ma szansę zdobyć sześć różnych nagród, w tym dla najlepszego debiutu, ale nie zastanawia się nad tym, tylko skupia na kolejnych projektach. Następnym na liście jest „Miasto” – opowieść o miłości w czasach powstania warszawskiego, które przygotowuje już od dziewięciu lat. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wiosną tego roku ruszą zdjęcia do filmu. Co dalej? Komasa marzą się adaptacje komiksów „Thorgal”, „Schinkel” i (kolejna) „Wiedźmina” oraz film o tematyce gejowskiej lub *queer*, dotąd skrętnie omijanej przez polskich twórców.

dominik_karwowski: Mam przynajmniej sześciu superzdolnych kolegów, którzy zaraz zrobią swoje filmy. Musimy być fałg, wtedy staniemy się pokoleniem, które będzie wyznaczało rytm.

WSPÓLPRACA ANNA JASTRZĘBSKA

Nigdy nie będę ministrem kultury

Potrzebę władzy, którą niewątpliwie mam, realizuję na planie filmowym - mówi **AGNIESZKA HOLLAND**. Opowiada o historycznych krytykach, zmianie warty w polskim kinie i o tym, dlaczego seriale są lepsze niż filmy



Z **AGNIESZKĄ HOLLAND**
ROZMAWIA
KAROLINA PASTERNAK

Dzwoniono już do pani z pytaniem o opinię w sprawie raportu MAK albo beatyfikacji Jana Pawła II?

- Szczęśliwie udało mi się nie odpowiadać akurat na te dwa pytania. Jestem za granicą. **Nie przeszkadza pani, że została ekspertem od wypowiedzi na każdy temat: polityka, film, telewizja?**

- Na pewno nie przeszkadza mi to tak jak tym, którzy to później czytają. Dlatego przyhamowałam. Nagle to się przerodziło w festyn, dzwoniło do mnie z pytaniami z każdej dziedziny.

Skądś ta chęć poznania pani zdania musiała się wziąć. Nie ma pani wrażenia, że jest to coś w rodzaju wotum zaufania, że ludzie chcą pani słuchać?

- Zdarzało mi się spotykać z żywymi reakcjami na moje wypowiedzi. Niektórzy dziękowali, twierdząc, że mówię w ich imieniu, inni obrzucali mnie błotem.

Kazimierz Kutz stwierdził na przykład, że udeputuje sobie pani ścieżkę do fotela prezesa TVP.

- No tak, ale to raczej świadczy o jego zaślepieniu. Nikt z tych, którzy choć trochę mnie znają, nie podejrzewałby mnie o takie ambicje. Nie chciałam produkować nawet własnych filmów, a co dopiero odpowiadać za produkcję wszystkich treści telewizji publicznej. Stanowisko prezesa TVP to stanowisko menedżera, którym nigdy nie byłam i nie będę.

Ale aktywnie uczestniczy pani w życiu publicznym, walcząc o zmiany właśnie w TVP. Wspólnie z Jackiem Bromskim, Krzysztofem Krauzem i Krzysztofem Zanussim zaproponowała pani projekt zmiany ustawy medialnej. Dlaczego telewizja publiczna jest dla pani taka ważna? Badania pokazują, że za parę

lat nie będziemy jej oglądać, co najwyżej w sieci. Z kolei rząd zapowiada, że do 2013 roku w każdym polskim domu będzie Internet.

- Jasne, że na świecie ludzie młodzi i wykształceni coraz rzadziej oglądają telewizję. W Polsce jednak to medium ciągle jest jednym z głównych narzędzi kulturotwórczych i edukacyjnych. Jesteśmy społeczeństwem konsumpcyjnym, słabo wykształconym, którego większa część mieszka poza dużymi ośrodkami. Jedyny realny dostęp do treści kultury to dla większości Polaków wciąż telewizja. Zwłaszcza telewizja publiczna, bo komercyjna nie ma obowiązku dostarczać takich treści. I mimo że TVP od lat jest tak fatalna, jej udział w rynku nie spada.

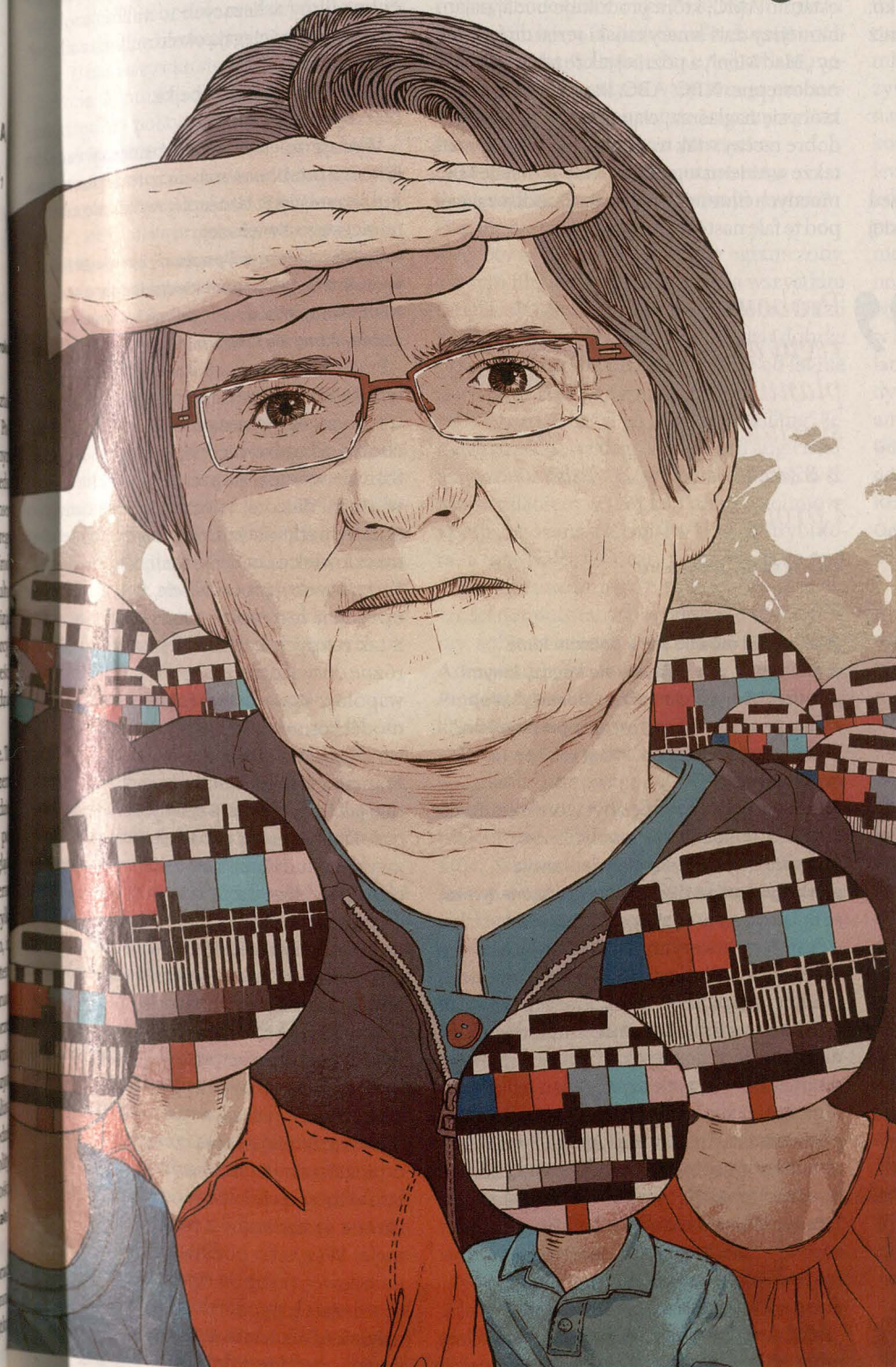
Internet nie jest narzędziem sam w sobie. Że za kilka lat w każdym domu będzie szybkie pasmo, nie znaczy, że ludzie będą wiedzieli, co z nim zrobić. Sporo jeździłam po polskiej prowincji, więc wiem, jak tam wygląda sytuacja. Nastolatki w kawiarenkach internetowych nie czytają „New York Timesa”, tylko grają na komputerach. Dlatego uważam, że oddawanie TVP w ręce ludzi niekompetentnych jest nieodpowiedzialne. Niestety, ten projekt zmiany ustawy medialnej został przyjęty przez polityków de facto załatwiony odwołaniem. Nadal znajduje się w parlamencie, ale wszyscy ko wskazuje na to, że będzie tak długo analizowany, aż skończy się kadencja i trzeba będzie tę polkę zaczynać od nowa. Nie będąc politykami, mamy bardzo ograniczone możliwości. **To może trzeba zostać politykiem? Rozważała pani kiedyś taką możliwość?**

- Dostawałam różne propozycje współpracy w charakterze doradcy, ale nie ciekawiło mnie to specjalnie. Myślałam o tym na początku, gdy przyszła wolność, kiedy się mówiło

”

Dla polskich krytyków albo wszystko jest do niczego, albo mamy cudowny przełom. Robienie z dwóch filmów nowej fali jest historyczne. A gdy tych filmów zabraknie, mówi się o upadku kina...

AGNIESZKA HOLLAND



→ „Wszystkie ręce na pokład”. Andrzej Wajda został senatorem, Bolesław Michałek ambasadorem RP w Rzymie. Z Krzysztofem Kieślowskim zastanawialiśmy się po nocach, kto powinien być ministrem kultury. Teraz uprawia się w Polsce politykę dość kiepską, ale jednak zawodową. Więc jak miałabym w nią wejść? Jako kto? Minister kultury? Bardzo niewdzięczne i bardzo urzędnicze stanowisko. Na pewno i mniej ciekawe, i mniej twórcze niż to, co robię.

W Stanach Zjednoczonych do naprawienia wizerunku telewizji i podniesienia jej jakości wystarczyło pojawienie się jednego niekonwencjonalnego gracza – HBO.

– A na czym polegał fenomen tej stacji? Przed jej pojawieniem się w telewizji amerykańskiej panował dokładnie tak jak u nas teraz dyktat oglądalności. Szefowie HBO zaryzykowali tezę, że widz jest tak zmęczony robionymi na jedno kopyto programami, że jeśli zaofiaruje mu się nowe, będzie za nie w stanie nawet zapłacić. I zapłacił. HBO uwolniło się od konieczności zabiegania o reklamy i uruchomiło ambitną produkcję.

Wyobraża pani sobie, co w polskich warunkach mogłoby odegrać rolę taką jak HBO za oceanem? Mamy nasz oddział stacji – HBO Polska. Tyle że HBO poza Stanami chce raczej powielać swoje amerykańskie sukcesy, niż eksperymentować, czego dowodem jest choćby to, że pierwszym polskim serialem produkowanym przez stację jest format – polska wersja hitu „In Treatment”, a nie oryginał.

– Polskie HBO nie jest samodzielne. To musiałyby być większy i bogatszy gracz, zdolny do podjęcia długofalowego ryzyka. Ja na razie takiego gracza na rynku nie widzę. Największy problem polega jednak na tym, że nie wypatruje go polski widz. Przecież tak zwanego masowego polskiego widza oferta ogólnodostępnych kanałów w pełni zadowala.

Gdy robiliśmy „Ekipę”, ktoś w Polsce pokazał mi badania odbioru amerykańskich seriali przez polską publiczność. Nawet nie „The Wire”, serialu trudnego, ambitnego [produkcja HBO, którą Holland reżyserowała – przyp. red.], ale sensacyjnych „24 godzin”. Okazało się, że dla polskiego widza ten serial jest niezrozumiały, akcja dzieje się za szybko.

Coraz więcej polskich widzów seriale i filmy ściąga z sieci. Niestety, tej aktywności nikt nie jest w stanie zbadać, a wyniki takich badań mogłyby nas zdziwić. I bardzo różniłyby się od tych przeprowadzonych przez Polsat.

– Nie mówię, że Polacy są głupi. Rozleniwili się, bo przez lata nikt nie proponował im ambitnej oferty. By to się zmieniło, media komercyjne musiałyby dojrzeć do przekonania, że przedstawienie lepszej oferty nie tylko podnosi standardy rynku, ale też przy okazji się opłaca. Śladem HBO poszły przecież w Stanach inne stacje kablowe, na przykład Showtime, ostatnio AMC, która produkuje bodaj najambitniejszy dziś amerykański serial dramatyczny „Mad Men”, a później także telewizje ogólnodostępne: NBC, ABC. Bardzo dobra rzecz, którą się nagłaśnia, ciągnie za sobą następne dobre rzeczy – tak to działa. To widać zresztą także w kinematografiach. Gdy powstaje kilka mocnych filmów, natychmiast podłączają się pod tę falę następni reżyserzy.

„Próbowałam uczyć Polaków reguł amerykańskiego planu filmowego. Nie chcieli słuchać. Mamy problem z szacunkiem do zasad i procedur

AGNIESZKA HOLLAND

O takiej fali mówiło się w polskim kinie w 2009 roku, gdy pojawiły się między innymi „Rewers” Borysa Lankosza, „Dom zły” Wojciecha Smarzowskiego, „Wojna polsko-ruska” Xawerego Żuławskiego. Minął rok i po fali nie ma śladu.

– Krytycy ogłosili tę falę zbyt wcześnie. To nie była fala, tylko kilka dobrych filmów. Jest pani chyba jedyną reprezentantką polskiego środowiska filmowego, która uważa, że polscy krytycy są zbyt entuzjastyczni.

– Jesteście historyczni. Albo wszystko jest do niczego, albo mamy cudowny przełom. Ja wolę oczywiście, kiedy krytycy sprzyjają polskiemu kinu, ale tworzenie z dwóch filmów fali jest historyczne. Osiem miesięcy później nie ma tych kilku mocnych filmów i już mówi się o upadku kina. Na wszystko potrzeba czasu. Jest czas siania i czas zbiorów. Żeby mieć ziarno, trzeba zasiać, zebrać, a później zmłócić.

Tylko że w sianiu i młócce nie ma nic ekscytującego. Ekscytująca jest klęska żywiołowa albo rekordowe zbiory. A dziś wszyscy chcą się ekscytować.

– Dlatego widzowie nie chodzą na dobre filmy, tylko na wydarzenia. Żeby coś dobrego się

przebiło, trzeba to zmienić w wydarzenie, a wtedy zniknie niezauważone.

Jednak właśnie dzięki tej aurze „wydarzenia festiwalu w Gdyni” tak niekomercyjny film jak „Dom zły” obejrzało w kinach kilkaset tysięcy widzów. Ma to więc też swoje plusy.

– Jak na polski rynek to dobry wynik, ale z perspektywy innych krajów nieporównywalny. Dobne filmy w liczących 10 milionów obywateli Czechach ściągają około miliona widzów. **Filmy artystyczne?**

– Tak, w stylu Jana Hřebejka.

Dlaczego tak się dzieje?

– Wydaje mi się, że więź między cenzurą kinem a publicznością nie została przetrwana. Publiczność jest tam lepiej wykształcona, telnictwo jest większe.

Polacy są świetnymi poetami, ale kiepskimi prozaikami, jak to pani kiedyś ładnie ujęła. Nie potrafimy budować dobrych narracji, więc zadowalamy się średnimi.

– Pracuję teraz w Kanadzie nad nowym serialem AMC z młodym amerykańskim pisarzem wschodzącą gwiazdą literatury. Chłopak pochodzi z bardzo biednej rodziny z Luizjany. Sam się wdrapał na szczyt, dzięki literaturze właśnie. Wczoraj wieczorem mieliśmy spotkanie, podczas którego ten zupełnie nieznany mi człowiek opowiedział mi historię swojego życia, oczekując oczywiście, że ja natychmiast opowiem mu swoją. Amerykanie pochodzą z tak różnych kultur i ukształtowały ich różne doświadczenia, że chcąc znaleźć punkt

wspólny, opowiadają sobie historie. To jest model komunikacji. Jadę taksówką, a kierowca, gdy tylko wsiądę, zaczyna swoją opowieść. Francuzi mają z kolei wieki tradycji nauki, jak formułować poglądy, jak się wypowiadać. Kiedy słucha się w telewizji francuski zwykłych ludzi, ma się wrażenie, jakby się rozmawiało z polskim profesorem. Oczywiście tam nie ma takiej świadomości, że to jest wyjątkowość. Ale to naprawdę szkoła formułowania poglądów i odpowiedzialności za słowo.

A w Polsce? Choćby ten raport MAK. Dyskusja o nim naprawdę jest adekwatna. I nie mówię tylko o wypowiedziach polityków PiS, którzy mają w tym interes polityczny i najbezpieczniej negują rzeczywistość, ale o niektórych dziennikarzach. Od rana na stronie internetowej lektury na ten temat. Raport istotne są mieszane z bełkotem o sztuce i mgle. Wszystko podlane jest sosem sponad narodowej, jakby od raportu rosyjskiej komisji zależała niepodległość Polski. Przykłady

patryotycznego tromtadactwa, jakie możemy obserwować przy okazji jej wyjaśniania. Jest pani za granicą, ale rano zaczyna pani od lektury polskiej prasy?

– Staram się śledzić to, co się dzieje w kraju. Wie pani, to jest ciekawe. 20 lat wolności, walka dobra ze złem – czy raczej zła z gorszym złem. Gdzie są popełniane błędy, gdzie dobre filmy w liczących 10 milionów obywateli Czechach ściągają około miliona widzów. **Filmy artystyczne?**

– Tak, w stylu Jana Hřebejka. **Dlaczego tak się dzieje?** – Wydaje mi się, że więź między cenzurą kinem a publicznością nie została przetrwana. Publiczność jest tam lepiej wykształcona, telnictwo jest większe. **Polacy są świetnymi poetami, ale kiepskimi prozaikami, jak to pani kiedyś ładnie ujęła. Nie potrafimy budować dobrych narracji, więc zadowalamy się średnimi.** – Pracuję teraz w Kanadzie nad nowym serialem AMC z młodym amerykańskim pisarzem wschodzącą gwiazdą literatury. Chłopak pochodzi z bardzo biednej rodziny z Luizjany. Sam się wdrapał na szczyt, dzięki literaturze właśnie. Wczoraj wieczorem mieliśmy spotkanie, podczas którego ten zupełnie nieznany mi człowiek opowiedział mi historię swojego życia, oczekując oczywiście, że ja natychmiast opowiem mu swoją. Amerykanie pochodzą z tak różnych kultur i ukształtowały ich różne doświadczenia, że chcąc znaleźć punkt

wspólny, opowiadają sobie historie. To jest model komunikacji. Jadę taksówką, a kierowca, gdy tylko wsiądę, zaczyna swoją opowieść. Francuzi mają z kolei wieki tradycji nauki, jak formułować poglądy, jak się wypowiadać. Kiedy słucha się w telewizji francuski zwykłych ludzi, ma się wrażenie, jakby się rozmawiało z polskim profesorem. Oczywiście tam nie ma takiej świadomości, że to jest wyjątkowość. Ale to naprawdę szkoła formułowania poglądów i odpowiedzialności za słowo. A w Polsce? Choćby ten raport MAK. Dyskusja o nim naprawdę jest adekwatna. I nie mówię tylko o wypowiedziach polityków PiS, którzy mają w tym interes polityczny i najbezpieczniej negują rzeczywistość, ale o niektórych dziennikarzach. Od rana na stronie internetowej lektury na ten temat. Raport istotne są mieszane z bełkotem o sztuce i mgle. Wszystko podlane jest sosem sponad narodowej, jakby od raportu rosyjskiej komisji zależała niepodległość Polski. Przykłady

patryotycznego tromtadactwa, jakie możemy obserwować przy okazji jej wyjaśniania. Jest pani za granicą, ale rano zaczyna pani od lektury polskiej prasy?

– Staram się śledzić to, co się dzieje w kraju. Wie pani, to jest ciekawe. 20 lat wolności, walka dobra ze złem – czy raczej zła z gorszym złem. Gdzie są popełniane błędy, gdzie dobre filmy w liczących 10 milionów obywateli Czechach ściągają około miliona widzów. **Filmy artystyczne?**

– Tak, w stylu Jana Hřebejka. **Dlaczego tak się dzieje?** – Wydaje mi się, że więź między cenzurą kinem a publicznością nie została przetrwana. Publiczność jest tam lepiej wykształcona, telnictwo jest większe. **Polacy są świetnymi poetami, ale kiepskimi prozaikami, jak to pani kiedyś ładnie ujęła. Nie potrafimy budować dobrych narracji, więc zadowalamy się średnimi.**

– Pracuję teraz w Kanadzie nad nowym serialem AMC z młodym amerykańskim pisarzem wschodzącą gwiazdą literatury. Chłopak pochodzi z bardzo biednej rodziny z Luizjany. Sam się wdrapał na szczyt, dzięki literaturze właśnie. Wczoraj wieczorem mieliśmy spotkanie, podczas którego ten zupełnie nieznany mi człowiek opowiedział mi historię swojego życia, oczekując oczywiście, że ja natychmiast opowiem mu swoją. Amerykanie pochodzą z tak różnych kultur i ukształtowały ich różne doświadczenia, że chcąc znaleźć punkt

wspólny, opowiadają sobie historie. To jest model komunikacji. Jadę taksówką, a kierowca, gdy tylko wsiądę, zaczyna swoją opowieść. Francuzi mają z kolei wieki tradycji nauki, jak formułować poglądy, jak się wypowiadać. Kiedy słucha się w telewizji francuski zwykłych ludzi, ma się wrażenie, jakby się rozmawiało z polskim profesorem. Oczywiście tam nie ma takiej świadomości, że to jest wyjątkowość. Ale to naprawdę szkoła formułowania poglądów i odpowiedzialności za słowo. A w Polsce? Choćby ten raport MAK. Dyskusja o nim naprawdę jest adekwatna. I nie mówię tylko o wypowiedziach polityków PiS, którzy mają w tym interes polityczny i najbezpieczniej negują rzeczywistość, ale o niektórych dziennikarzach. Od rana na stronie internetowej lektury na ten temat. Raport istotne są mieszane z bełkotem o sztuce i mgle. Wszystko podlane jest sosem sponad narodowej, jakby od raportu rosyjskiej komisji zależała niepodległość Polski. Przykłady

patryotycznego tromtadactwa, jakie możemy obserwować przy okazji jej wyjaśniania. Jest pani za granicą, ale rano zaczyna pani od lektury polskiej prasy?

– Staram się śledzić to, co się dzieje w kraju. Wie pani, to jest ciekawe. 20 lat wolności, walka dobra ze złem – czy raczej zła z gorszym złem. Gdzie są popełniane błędy, gdzie dobre filmy w liczących 10 milionów obywateli Czechach ściągają około miliona widzów. **Filmy artystyczne?**

– Tak, w stylu Jana Hřebejka. **Dlaczego tak się dzieje?** – Wydaje mi się, że więź między cenzurą kinem a publicznością nie została przetrwana. Publiczność jest tam lepiej wykształcona, telnictwo jest większe. **Polacy są świetnymi poetami, ale kiepskimi prozaikami, jak to pani kiedyś ładnie ujęła. Nie potrafimy budować dobrych narracji, więc zadowalamy się średnimi.**

– Pracuję teraz w Kanadzie nad nowym serialem AMC z młodym amerykańskim pisarzem wschodzącą gwiazdą literatury. Chłopak pochodzi z bardzo biednej rodziny z Luizjany. Sam się wdrapał na szczyt, dzięki literaturze właśnie. Wczoraj wieczorem mieliśmy spotkanie, podczas którego ten zupełnie nieznany mi człowiek opowiedział mi historię swojego życia, oczekując oczywiście, że ja natychmiast opowiem mu swoją. Amerykanie pochodzą z tak różnych kultur i ukształtowały ich różne doświadczenia, że chcąc znaleźć punkt

wspólny, opowiadają sobie historie. To jest model komunikacji. Jadę taksówką, a kierowca, gdy tylko wsiądę, zaczyna swoją opowieść. Francuzi mają z kolei wieki tradycji nauki, jak formułować poglądy, jak się wypowiadać. Kiedy słucha się w telewizji francuski zwykłych ludzi, ma się wrażenie, jakby się rozmawiało z polskim profesorem. Oczywiście tam nie ma takiej świadomości, że to jest wyjątkowość. Ale to naprawdę szkoła formułowania poglądów i odpowiedzialności za słowo. A w Polsce? Choćby ten raport MAK. Dyskusja o nim naprawdę jest adekwatna. I nie mówię tylko o wypowiedziach polityków PiS, którzy mają w tym interes polityczny i najbezpieczniej negują rzeczywistość, ale o niektórych dziennikarzach. Od rana na stronie internetowej lektury na ten temat. Raport istotne są mieszane z bełkotem o sztuce i mgle. Wszystko podlane jest sosem sponad narodowej, jakby od raportu rosyjskiej komisji zależała niepodległość Polski. Przykłady

Ostatnio dzieli pani czas między kręcenie seriali dla amerykańskich stacji a robienie kina w Europie. Co sprawia pani większą satysfakcję?

– Kino jest straszliwie angażujące. Właśnie skończyłam „W ciemności”, film o złodzieju, który podczas II wojny światowej ukrywał grupę Żydów w kanałach. Premiera nastąpi podczas festiwalu w Gdyni. Jestem bardzo dumna z tego projektu, bo udało się w nim osiągnąć coś bardzo trudnego – jest w tym filmie niemal dokumentalna szczerość w pokazywaniu rzeczywistości, a jednocześnie duże napięcie w narracji. Tyle że nakręcenie go kosztowało mnie ogromny kawał życia. A telewizję robi się lekko, szybko. Po zakończeniu zdjęć nie trzeba przechodzić przez niepewny proces promocji i dystrybucji: pójdą ludzie, nie pójdą. No i prawda jest też taka, że w biznesie serialowym osiągnęłam w Stanach dość wysoką pozycję [za pilota „Treme” o życiu w Nowym Orleanie po huraganie Katrina Holland dostała w 2010 roku nominację do nagrody Emmy – przyp. red.], więc mogę robić coraz ambitniejsze rzeczy.

Gdyby była pani w Polsce, odebrałaby pani od prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Takie odznaczenia mają dla pani znaczenie?

– Miło mi oczywiście, że pan prezydent mnie docenił, ale nie mogę powiedzieć, żeby to miało istotny wpływ na moje życie. Nie dostałam w tej sprawie żadnego papierka, więc nie wiem dokładnie, co to jest za odznaczenie. Wiem, że już jedno kiedyś dostałam. Od prezydenta Kwaśniewskiego. Mam je chyba w Warszawie, więc nie bardzo mogę porównać. W każdym razie mam nadzieję, że to nie jest ten sam order.

Na koniec pofantazujmy. Przypuśćmy, że mogłaby pani naprawić jedną rzecz w polskiej kulturze. Co by pani postuluowała?

– Zainwestowałabym w inicjatywę obywatelskie. To jest przestrzeń, w której dziś dzieje się najwięcej dobrego. Korzystałabym po prostu z kompetencji i pasji ludzi, którzy zajmują się kulturą oddolnie, a nie dlatego, że takie mają wykształcenie albo stanowisko. **Brzmi jak niezła przedwyborcza obietnica.**

– A pani mnie znowu wypycha w tę politykę! Proszę mi wierzyć, potrzebę władzy, którą niewątpliwie mam, całkowicie realizuję na planie filmowym.

– Wybór w tym roku był trochę ograniczony, a o tym filmie wiedzieliśmy poza wszystkim innym, że się Amerykanom podoba. Dużo podróżował po Stanach i był bardzo dobrze przyjmowany. Ale przecież myśmy od lat nie mieli pewniaka do nominacji.

PISF bardzo liczył na „Essential Killing” Jerzego Skolimowskiego w kategorii angielskojęzycznej i bardzo go w Stanach promował. Moim zdaniem w tym konkursie Skolimowski nie ma szans. Nie miał w USA dystrybutora, a to w walce o Oscary priorytet. Poza tym – mimo że uważam ten film za lepszy od większości nominowanych w tym roku – powiedziałbym sobie szczerze: taki rodzaj kina nigdy Amerykanów nie uwiędzie.

Próbowała pani kiedyś tym hollywoodzkim know-how podzielić się z polskimi filmowcami?

– Próbowałam uczyć reguł amerykańskiego planu filmowego, który jest świetnie zorganizowany. W Polsce jest mnóstwo utalentowanych ludzi, ale organizacja szwankuje. Nikt specjalnie nie chciał mnie słuchać. Bo my w ogóle mamy w Polsce problem z szacunkiem do zasad i procedur. Gdy wspólnie z innymi członkami powołanej specjalnie w tym celu przez Bogdana Zdrojewskiego komisji wybraliśmy polskiego kandydata do Oscara, kilku pominiętych przez nas kolegów śmiertelnie się obraziło i zaczęło działać na własną rękę, żeby dostać z Ministerstwa Kultury pieniądze na promowanie przy okazji ceremonii własnych filmów. W Polsce tak już jest. Najpierw się umawiamy na jakieś procedury, wybieramy ciało nominujące kandydata, po czym nikt nie chce się podporządkować decyzji. Na planie filmowym to, co robię, może się udać albo nie, ale w dużym stopniu zależy ode mnie. Na tym chyba polega różnica między działalnością publiczną a kręceniem filmów.



Chilli ZET.
Radio w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl

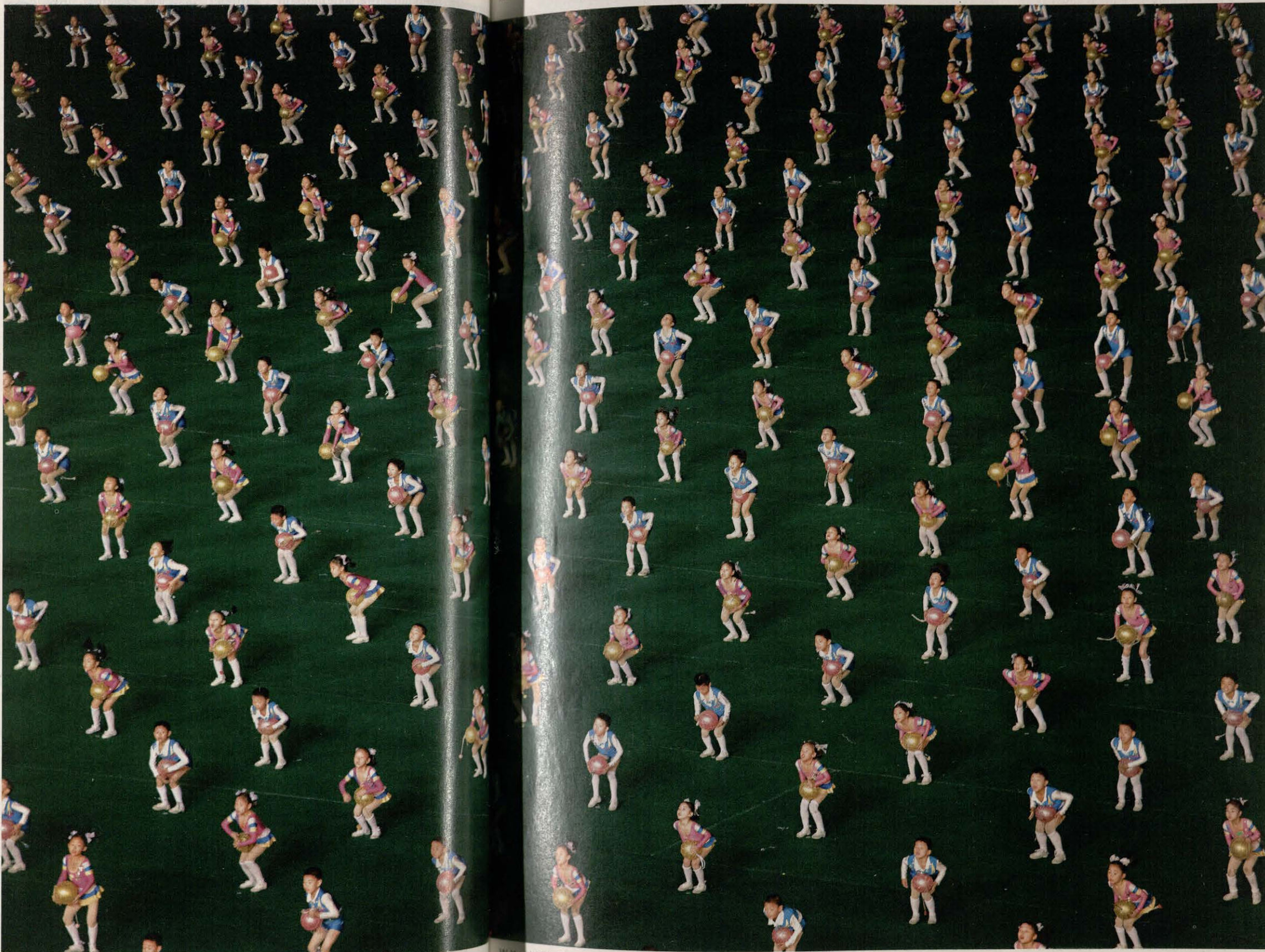
Życie jak w Korei

Przetrwanie - to jedyna dyscyplina, w której Koreańczycy z Północy są mistrzami świata. Codzienny trening zapewnia im reżim Kim Dzong Ila

TEKST ANDRZEJ BOBER
ZDJĘCIA ADAM DEAN

Ruch uliczny jest mizerny niezależnie od pory dnia. Wzdłuż ulic stoją budynki, których lata świetności bezpowrotnie minęły trzy dekady temu. Wszystkie z wielkiej płyty w skali makro - szczyt socrealistycznego wzornictwa. Projekty wyszły ponoć spod ręki jedyne „boskiego architekta” Kim Ir Sena. Hałas jak na stolicę niewielki. Czasem przemknie zatłoczony autobus, auto na rządowych tablicach bądź wojskowa ciężarówka pamiętająca jeszcze czasy wojny koreańskiej zakończonej w 1953 roku. Po drodze mijam drobne sklepy spożywcze, a nawet kioski z wyłożoną najpoczytniejszą gazetą „Rodong Sinmun”. Na pierwszej stronie relacje o każdym kroku Kim Dzong Ila, przywódcy państwa, na drugiej kącik ideologiczny. Trzecia strona kipi doniesieniami o postępach gospodarczych kraju.

Na ulicach nie widać policji, bo przy tak srogim systemie kar nikt nie ma odwagi złamać prawa. Przyjezdny może czuć się naprawdę bezpiecznie, o ile nie nadużyje gościnności gospodarzy. Kłopot polega na tym, że katalog niepisanych wykroczeń jest szeroki. Niewinne robienie zdjęć, na które w innym państwie nikt nie zwróciłby uwagi, tu jest uznane za działanie szkalujące reżim. →



W Korei Północnej każdy może być inny. Ale tylko w zakresie wyznaczonym przez państwo. Na zdjęciu: festiwal Arirang z okazji urodzin Kim Ir Sena

for: Adam Dean/Panos/EK Pictures

→ W Korei Północnej bardzo łatwo awansować na szpiega. Wystarczy pstryknąć fotkę mostu lub stacji metra, które w razie nalo- tu ma służyć za bunkier. Niebezpieczna jest „prowokacja walutowa” – kupując od podsta- wionych cinkciarzy lokalne pieniądze po czar- norynkowym kursie, ryzykujemy wydalenie z kraju w trybie natychmiastowym. W przy- padku podejrzenia o szpiegostwo w grę wcho- dzi pięć-siedem lat więzienia.

Szpiegostwo nieświadome

Aparat bezpieczeństwa jest rozbudowa- ny do niespotykanych rozmiarów. Niemal w każdym bloku znajduje się posterunek, a na każdym osiedlu działa siatka donosicie- li chodzących po klatkach i nasłuchujących wypowiedzi niezgodnych z „ideologiczną poprawnością”. Według południowokoreań- skich źródeł co 10. obywatel reżimu regular- nie pisze donosy na sąsiadów, krewnych i bli- skich, a co 50. jest zatrudniony przez służby czuwające nad bezpieczeństwem wewnętr- znym kraju. Zatem wraz z armią liczącą ponad 1,2 miliona żołnierzy i innymi służbami po- mocniczymi w kraju Kimów mieszka ponad 2 miliony mundurowych, co stanowi niemal 10 procent całej ludności kraju.

Pozostałe 90 procent walczy o przetrwanie. Robią zakupy na małych, choć nieźle wyposa- żonych bazarach – dostępne są tam nie tylko krajowe i zagraniczne produkty spożywcze, ale też odzież, opał i sprzęt techniczny. Czasa- mi trzeba płacić pod stołem (szczególnie płacąc walutą inną niż północnokoreański won), ale dostać można niemal wszystko. Nie ozna- cza to jednak, że przeciętny obywatel tego „ostatniego robotniczego raju na świecie” może sobie na wszystko pozwolić.

Do grudnia 2009 roku w Korei Północnej obok lokalnych wonów obracano także walu- tami wymiennymi – euro, dolarami i chiń- skimi juanami. Reżim Kim Dzong Ila zorien- tował się jednak, że powoli zaczyna tracić kontrolę nad formującą się w kraju klasą śred- nią, która dzięki wcześniejszym reformom go- spodarczym i minimalnej liberalizacji handlu z połowy 2002 roku zaczęła się bogacić. Wraz ze wzrostem zamożności ludzie ci stali się coraz mniej zależni od pomocy państwowej w postaci systemu kartkowego.

Władze przeprowadziły więc „reformę wa- lutową”. Uderzyła ona we wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek oszczędności, szczególnie w obcej walucie. Z dnia na dzień wprowadzo- no zakaz posiadania dewiz, a resztę oszczę- dności w starych nominałach władza kazała wy- mienić na nowe banknoty po uprzedniej →



Niepodważalna przewaga Phenianu nad innymi stolicami – brak korków. Brak świateł na skrzyżowaniu to efekt stałych problemów z zasilaniem



Większość zagranicznych towarów w sklepach pochodzi z Chin. Ale zdarzają się też polskie alkohole

→ denominacji. Każdy obywatel mógł jednak wymienić stare pieniądze tylko do określonego, niskiego limitu wartości. Reszta ulegała konfiskacie bądź przepadała. Nieujawnienie środków w obcej walucie groziło więzieniem. Wielu ludzi paliło stare banknoty na ulicy w geście nie tyle protestu, ile żalu i rozpacz w związku z utraconymi oszczędnościami życia. Demonstrantów skazywano na wieloletnie kary obozu. Jednym cięciem aparat władzy wprowadził po raz kolejny niemal pełną równość wśród obywateli.

Kartki równości

Podstawą tej równości i wyżywienia każdego obywatela są produkty z przydziału kartkowego. Ale kartki dostaje zaledwie 60 procent obywateli. Pozostali muszą radzić sobie sami. Najlepiej żyje się wysokim urzędnikom państwowym i starszym rangą oficerom, którzy oprócz uposażenia w wonach otrzymują także dodatki w obcych walutach wynoszące od kilkudziesięciu do ponad 1000 euro. Ci oficjalnie mogą obracać tymi pieniędzmi i płać nimi za zakupy w sklepach dewizowych. I tak już za 120-300 euro mogą kupić sobie od-

kurzacz, za 1000 euro – 40-calowy telewizor marki Toshiba. Za 300 euro dostępna jest pralka Panasonic z siedmiokilogramowym bębniem albo łożo małżeńskie ze sklejkami imitującymi szlachetny rodzaj drewna.

Ceny dorównują tym znanym z polskich sklepów, a nawet je przewyższają. Za 100 gramów żółtego sera trzeba zapłacić aż 6 euro, czyli około 24 złotych. Kilogram jabłek kosztuje 2 euro, a pomarańczy – 4 euro. Przy zarobkach nieprzekraczających równowartości 30-50 euro (o ile w ogóle pensja jest wypłacana) produkty te są niemal nieosiągalne.

Wysokie zarobki jednak niewiele by zmieniły, bo w północnokoreańskiej rzeczywistości nie ma atrakcji, na które można przepuścić całą pensję. Przy okazji dość częstych świąt państwowych powszechnym sposobem spędzania dnia są koncerty z muzyką defiladową. Bez większych problemów można też skorzystać z basenu lub lodowiska. Niemal wszystko zamiera po godzinie 18 wraz z zamknięciem ostatniego państwowego sklepu.

Wieczorem jeszcze chwila odpoczynku przed telewizorem. Lecą odgrzewane parady wojskowe, występy wojskowych muzyków

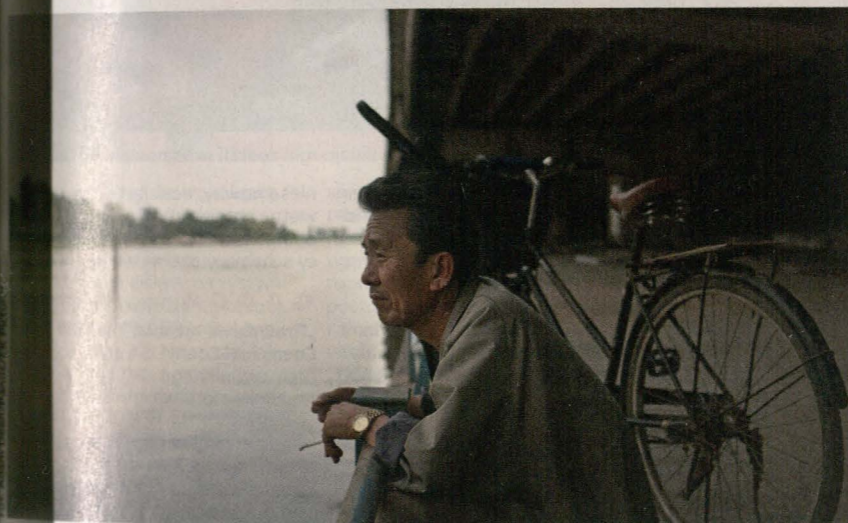


Piknik i jego zdjęcia – tylko za zgodą bezpieki

grających marsze rewolucyjne albo kolaboracji „film dokumentalny” o wojnie koreańskiej lub okupacji japońskiej. Choć w Korei nocnej oficjalnie działają cztery stacje telewizyjne, ogólnie dostępne są tylko dwa kanały: KCTV oraz Mansudae TV, a w nich: doniesienia o wizytach zakładowych Kim Dzong-ila, wydajności kur niosek, wzrostach krajowej produkcji i kłękach nieurodzaju za granicą. Spiker w teatralny sposób donosi o kolejnych antyrządowych strajkach na Południu, o naradach prawonanych i zrujnowanych Amerykanów. Na ekranie stare zdjęcia z Florydy po przebiegu huraganu Katrina. Materiał o Polsce nie widać ciekawiej. Padł ustrój socjalistyczny, za-



Żeby podróżować po Phenianie środkami transportu publicznego, nie wystarczy kupić bilet i wcisnąć się do tramwaju. Trzeba jeszcze mieć specjalną przepustkę



Chwila relaksu po wędkowaniu. Niedługo, bo przesadne dumanie może prowadzić do wypaczeń

lila się gospodarka. W materiale filmowym dantejskie sceny z terenów popowodziowych na południu Polski, podupadłe gospodarstwa, rozlatujące się budynki gospodarcze. Ujęcia z polskiej powodzi tysiąclecia w 1997 roku pokazywane są jako materiały aktualne. Znalazło się też miejsce na rozrywkę, na przykład na klasykę północnokoreańskiego kina – film „Moja rodzinna wioska” w reżyserii Kang Hong Sika. To historia ubogiego chłopca, który przeciwstawia się Japończykom okupującym Koreę w latach 1910-1945. Z powodu swojej walki z najeźdźcą trafia do więzienia, gdzie uzyskuje „świadomość klasową” i rozpoczyna partyzancką walkę z okupan-

tem. Po zwycięstwie otoczony chwałą wraca do swojej wioski, by budować w niej nowe, „klasowo dojrzałe” społeczeństwo.

Malkontentstwo karalne

Innym powtarzaniem hitem jest film „Moje szczęście”, w którym jeden z głównych bohaterów traci nogi na skutek wybuchu granatu. Po wybudzeniu z narkozy w wojskowym lazarecie zaskoczony stwierdza, że nogi w cudowny sposób ocalały. Szybko zauważa jednak, że kuleją lekarze i pielęgniarki. Łączy fakty i uświadamia sobie, że oni „ofiarowali mu własne kości, mięśnie i skórę”, by ratować jego nogi. Film więc czy fraza wypowiedziana przez

Za 100 gramów żółtego sera trzeba zapłacić aż 6 euro, czyli około 24 złotych. Kilogram jabłek kosztuje 2 euro, pomarańczy – 4 euro. A to wszystko przy zarobkach na poziomie 30-50 euro miesięcznie

szczęśliwego pacjenta: „Jak dobrze żyć w naszym społeczeństwie”.

Północni Koreańczycy publicznie nie narzekają. Myśl o reedukacji w obozie pracy skutecznie ostudza złość. Tracąc kolejne bezcenne urządzenie kuchenne z powodu skoków napięcia ze 130 na 280 woltów, Koreańczyk może co najwyżej zakląć pod nosem. Wystarczyłoby zakupić stabilizator napięcia, ale niełatwo go nabyć. W pracy też lepiej uważać. Uraz przy tokarce to nie żarty. A lekarza, który pomoże, ze świecą szukać. Nawet jeśli przyjdzie do szpitala, to i tak nie będzie czym leczyć. Najważniejsze to przetrwać, a Koreańczycy są w tej dyscyplinie mistrzami świata.

Z pańskiego stołu

Książki uskładane z resztek po pisarzach bywają też smakowite – na przykład te Styrona, Orwella i Tyrmanda

TADEUSZ NYCZEK

Sprzątanie po wybitnych pisarzach to osobna i osobliwa działka kultury, mało chyba opisała, o ile w ogóle. A przecież to oni, pracownicy szperacze po archiwach, testamentach, szafach i starych gazetach, zapewniają zmarłym niespodziewane chwile życia po życiu, a nam pozwalają cieszyć się resztkami z pańskiego stołu. Te resztki oczywiście różnej bywają jakości i czasem zasługują, żeby je pod tym stołem zostawić. Ot, spadkobiercy papy Hemingwaya zrobili mu kiedyś z chciwości niedźwiedzią przysługę, publikując bruliony nieskończonej powieści; to tak, jakby wypchnąć na bal kobietę w jednej pończosze, halce i z ręcznikiem na głowie.

Ale zostawmy nieszczęścia. Prawie jednocześnie wyszły teraz trzy książki z resztkami bardzo niekiedy smakowitymi. Oto opowiadania i fragmenty nienapisanych powieści Williama Styrona pod frapującym tytułem „Samobójcza runda”. Styron (zmarł pięć lat temu) to jedna z pereł w koronie amerykańskiej prozy drugiej połowy ubiegłego wieku. Po lekturze „Pogrążyć się w mroku” i „Na pastwę płomieni” chodziłem do tyłu przez długie tygodnie i do dzisiaj na wspomnienie tych niesamowitych powieści dziwny stupor mi wraca. Styron życie miał burzliwe, pił strasznie, w końcu popadł w depresję, z której wyciągnęła go... jego własna książka o własnej depresji, przejmujący „Dotyk ciemności”.

Małe prozy zebrane w „Samobójczej rundzie” powstawały w różnych okresach życia – od wczesnej młodości po lata 90. Wszystkie obracają się wokół tematu wojennego; niespełna 20-letni Styron został pod sam koniec II wojny światowej



Młody William Styron porzucił służbę w marines i został prozaikiem

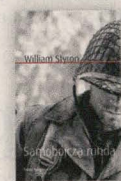
jednym z marines, żołnierzy Korpusu Piechoty Morskiej USA, na froncie dalekowschodnim. Kto ciekaw takich historii, pożywi się niewątpliwie, choć pewnie nie nasyci. Styron był specjalistą od wielkich powieści pisanych wielkim stylem, częściowo podkradzionym Faulknerowi, a mniejsze formy jakby go, o dziwo, krepowały i uzwyczajniały. Jest to jednak kawał prozy i lektura warta grzechu.

„Kilka myśli o ropusze zwyczajnej oraz inne nieznanne szkice, opowiadania i eseje” Orwella (zmarł w 1950 roku) to – zgodnie z tytułem – nadzwyczajna wprost mieszana gatunkowa autorstwa jednego z tych pisarzy, którzy przybili na wizerunku XX wieku parę nieśmiertelnych etykietek. Na „Roku 1984” i „Folwarku zwierzęcym” wychowała się kilka pokoleń, a publicystyka Orwella była dla Anglików tym, czym felietony Kisiela dla Polaków. W po-

budowa stolicy; nie było go, kiedy Niemcy burzyli, ale chciał być przy podnoszeniu jej z ruin. Pisał o tym całe lata. Zrazu w „Przekroju”, a kiedy go stamtąd wyrzucili – w „Stolicy” i „Tygodniku Powszechnym”.

Gdy się zna legende Tyrmanda, zaka w kolorowych skarpetkach i jęczącego na nosie stalinowskimi sztzywniactwu, potem zajadłego tykomunisty na emigracji w Ameryce (zmarł tam w 1985 roku), nie się wierzyć, że te ciepłe i sympatyczne teksty o Warszawie lat 40. i 50. pisał ten sam człowiek. Nigdzie tam nie pada słowo „socjalizm”, ale eszajazm, z jakim młody Tyrmand widział odbudowę stolicy, ma w sobie wiele cech ówczesnej publicystyki zachwycającej się „nowym, wspaniałym światem”. Akurat satysfakcje Tyrmanda były uzasadnione. Warszawa błyskawicznie powstawała nienawidzonego w zarodku, propaganda i cenzura czuwały. Biedny Tyrmand musiał tłumaczyć nawet z najślusniejszego własnego postulatów, żeby na wzór rzymski zostawić na pamięćki parę ruin. Ale ruiny w socjalistycznej stolicy? W życiu! Nowy świat miał być nowy bez reszty.

Tyle o książkach. Na koniec uwaga edytorska. Takie resztki po pisarzach powinny być dobrze opracowane, z precyzyjnym podaniem źródeł, z przypisami itp. Dlaczego tylko Styron i Orwell mają to perfekcyjnie zrobione, a Tyrmand wręcz przeciwnie?



★★★★
William Styron
„Samobójcza runda”
przeł. Bartłomiej
Zborski, Świat Książki,
Warszawa 2010, 504 s.,
34,90 zł



★★★★
George Orwell
„Kilka myśli
o ropusze zwyczajnej”
przeł. Bartłomiej
Zborski, Świat Książki,
Warszawa 2010, 504 s.,
39,90 zł



★★★★
Leopold Tyrmand
„Tyrmand
warszawski”
Wydawnictwo MG,
Warszawa 2011, 504 s.,
34,90 zł

Czeczeński Bułhakow

Woland i jego świta straszą teraz w Bielsku

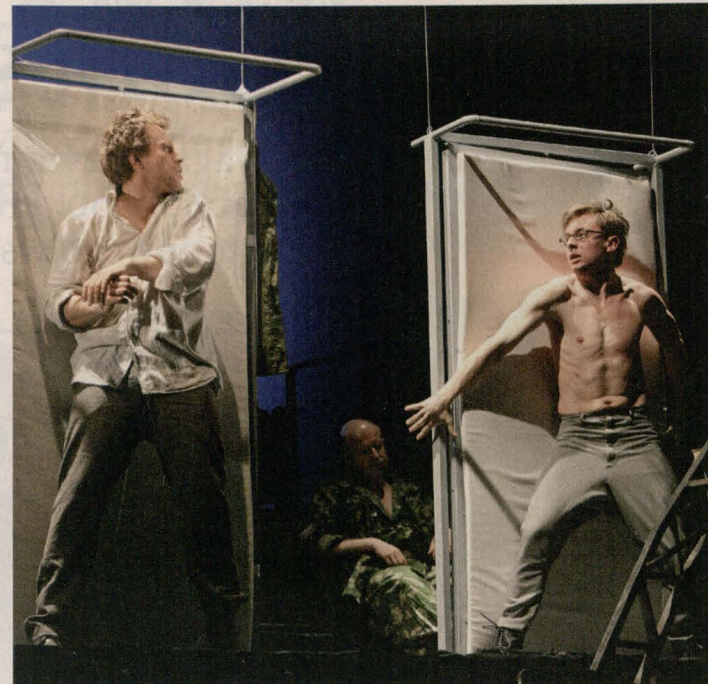
LUKASZ DREWNIAK

Każde nowe teatralne podejście do „Mistrza i Małgorzaty” sprawia, że strzygę z radości uszami i wychodzę na miasto w przebraniu Korowiowa, byłego regenta chóru cerkiewnego, żeby coś obrzydliwego zbroić. W końcu to najpiękniejsza historia o dojrzalej miłości, jaką znam. I nic to, że zwykle robi się z tego kłiwie romansidło dla licealistów, które nie mają pojęcia ani o takim kobylkachaniu, ani o takim diable, ani nawet o śmieszno-gorzko-strasznej Rosji.

Robert Talarczyk nie chciał melodramatu i chwala mu za to. Czyta „Mistrza i Małgorzatę” przez pryzmat współczesnej Rosji. Książka Bułhakowa i jej bohaterowie są elementem kultury popularnej, rozpoznają się w nich moskiewscy celebryci. W tle mamy atak na teatr na Dubrowce i wojnę czeczeńską. Z jednej strony byle jaki show-biznes (Iwan-Mistrz to scenarzysta, który zgłosił się do wojska na ochotnika, jego ukochna jest popularną aktorką

z serialu), z drugiej niedobitki cygarnierii artystycznej (Woland i jego świta). W środku stara Rosja, która nie ma siły na bycie nowym, konsumpcyjnym rajem. Wolandowi tylko się wydaje, że jest diabłem. Behemot (Kuba Lewandowski) to nadruchliwy gejowski tancerz z klubu. Asasello (stylowy Grzegorz Sikora) jest szefem modnej knajpy. Zło panoszy się raczej w rzeczywistości wojennej: krwawy rosyjski pułkownik pacyfikujący kaukaskie wsie to Piłat, jeden z żołnierzy weźmie na siebie rolę Mateusza Lewity (Tomasz Drabek), Jezua to arabski zakładnik Mohamed. Talarczyk wymyśla nowe postacie, bawi się egzotyczną scenografią i wie, że świat Bułhakowa nie mieści się już w naszym świecie. Moskiewscy kochankowie umierają oddzielnie: zaczadzony śmiercią Mistrz ginie w czeczeńskiej zasadzce, zde gustowana własnym kurewstwem Małgorzata popełnia samobójstwo.

Jest jednak z bielskim spektaklem podstawowy kłopot – można się po-



Mistrz (Sławomir Miska) i Bezdomny (Mateusz Znaniecki) w psychuzkach

gubić w kolejnych planach narracyjnych. Wiele scen razi sztywną umownością, dialogi dodane do powieści to literatura nie najwyższych lotów. Bronią się za to aktorzy. Anna Iberszer wzrusza mnie desperackim upodleniem Małgorzaty, która wie, że to po nic, ale próbuje wskrzesić swoje uczucie do Iwana. Równy poziom trzymają odtwórcy ról drugoplanowych: Kazimierz Czapała (Berlioz), Rafał Sawicki (Korowiow). Podo-

bał mi się młody Piotr Bułka jako jeden z żołnierzy z przeklętej kompanii. Za to autora kostiumów kobiecych ze stałym najchętniej na dwa lata na Sotłowi. Chyba że aktorki zemszczą się same przy pierwszej okazji.

„Mistrz & Małgorzata Story” według M. Bułhakowa, scenariusz i reżyseria Robert Talarczyk, scenografia Michał Urban, Teatr Polski w Bielsku-Białej

Zimny rosół

Na co Powszechnemu taki „Komediant”?

Warszawski Teatr Powszechny ma pecha. Choć od słynnej premiery „Komedianta” w reżyserii Erwina Axera z wielką rolą Tadeusza Łomnickiego na scenie Współczesnego minęło ponad 20 lat, ciągle są tacy, którzy ją pamiętają. A skoro pamiętają, będą porównywać. Tyle że porównania nie mają sensu. Wspaniałe przedstawienie Axera, oparte na uważnej lekturze dramatu Thomasa Bernharda, było groteskową i przejmującą opowieścią o piekle i kłamstwie teatru. Łomnicki genialnie grał aktora rojącego o własnej wielkości, potwora trawionego obsesyjną pychą, tyrana terroryzującego najbliższych w imię podtrzymywania własnych złudzeń.

A kogo gra w Powszechnym Kazimierz Kaczor? Komedianta średniego sortu bez przekonania deklamującego kwestie na temat swojej wyjątkowości. Jego Bruscon to człowiek pozbawiony siły, gderliwy sybaryta za sprawą wagi największej mający konsystencję rosółu podawanego przez właściciela gospody (bezbarny Krzysztof Stroiński). W efekcie spektakl Waldemara Śmigasiewicza sam przypomina ów przekłętą rosół – jest zimny i kompletnie bez smaku.

Na domiar złego reżyser bezceremonialnie obchodzi się z dramatem Bernharda. Lekką ręką wycina zeń całe porcje monologów Bruscona, co dodatkowo osłabia rolę Kaczora, a przedstawieniu odbiera całą moc oskarżenia teatralnej blagi. Rezygnu-

je w całości z postaci jego żony (czyżby w Powszechnym zabrakło aktorki zdolnej udźwignąć jej rolę?), co owocuje kastracją wątku chorej rodziny bohatera. W Powszechnym mamy tylko choleryka dla sadystycznej przyjemności ćwiczącego swe dzieci (Anna Moskal i Michał Napiątek).

Otrzymujemy zatem mniej niż namiastkę „Komedianta”. Wyzutą z napięcia historyjkę w stylu „realizmu kuchennego”, pogubionych aktorów, kuriozalne inscenizacyjne efekty. Trudno zrozumieć, po co Powszechnemu taka proteza. Mógłby Waldemar Śmigasiewicz wyreżyserować jakąś całkiem niezłą komedię, Kazimierz Kaczor by w niej zagrał, a publiczność się uśmieła. I wszyscy byliby zadowoleni.

JACEK WAKAR

„Komediant” Thomasa Bernharda, przekład Jacek Stanisław Buras, reżyseria Waldemar Śmigasiewicz, scenografia Maciej Preyer, Teatr Powszechny w Warszawie



Kazimierz Kaczor – gderliwy sybaryta

Góra skarbów

Uwaga, wizyta na wystawie polskiego designu z lat 50. i 60. grozi więzieniem. Z sal Muzeum Narodowego wszystko chciałoby się zabrać do domu

STACH SZABLŃSKI



1



2



3



4

5

1. Wygodne i lekkie krzesło Marii Chomentowskiej z 1956 roku
2. Model aparatu telefonicznego Olgierda Rutkowskiego, 1960 rok
3. DzbANEK Kolumb Danuty Dusznik, 1956 rok
4. Komplet stołowy Wszewłoda Sarneckiego, 1965 rok
5. Fotel z żywicy epoksydowej Romana Modzelewskiego, 1958 rok

czelnym pisma został Hryniewiecki, całą wystawę w Narodowym można potraktować jako adaptację jego manifestu.

W momentach szczytowego emocjonalnego napięcia autor zbliża się do tonu futurystów, którzy już w 1909 roku wołali, że „ryczący automobil piękniejszy jest od Nike z Samotraki”. „Niekiedy udaje się zobaczyć dzieło techniki lub plastyki, w którym uczujemy oddech przyszłości – pisał Hryniewiecki. – Czasem będzie to cudowny, mocny kolor i kształt wyrobu galanterijnego; czasem ten kształt przyszłości migocze nam w błysku karoserii samochodowej”. I rzeczywiście na wystawie zobaczymy również projekty samochodów – futurystycznego malucha o nazwie Smyk, a także luksusowe coupé zbudowane na bazie syrenki w warszawskiej ASP. Ten samochód nigdy nie wszedł do produkcji. Tworzony przez designerów świat pięknych przedmiotów, świetnie zaprojektowanych wewnątrz i ciekawych aut istnieje na granicy marzeń i rzeczywistości gomułkowskiej siermięgi, materialnego ubóstwa ówczesnej

Polski. Jesteśmy w czasie niedokonanym, choć możliwym.

Jak wyglądała nowoczesność po 1956 roku? Była jaskrawo kolorowa, abstrakcyjna, organiczna, inspirowana rzeźbami Henry'ego Moore'a, malarstwem Pabla Picassa, Joana Miró i Paula Klee, ale także kosmosem, sputnikami, nowymi technologiami i tworzywami. W tle miała tradycję międzywojennej awangardy. To wszystko widać w ekspozycjach: zakątkach surrealizmu projektów graficznych, tkaninach dekoracyjnych, których wzory są interpretacjami amerykańskich abstrakcyjnych ekspresjonistów, w kosmicznych formach mebli, miękkich, nieregularnych bryłach ceramiki, dziedzinie, w której w latach 50. i 60. powstawały w Polsce rzeczy wybitne.

Tkaniny Alicji Wyszogrodzkiej, meble Romana Modzelewskiego i Teresy Kruszewskiej, ceramiki Lubomira Tomaszewskiego, formy przestrzenne Stanisława Zamecznika są piękne same w sobie, ale chodzi o coś więcej. Już nigdy potem design nie był tak ściśle sprzężony ze sztuką. I ni-

gdy potem sztuce i projektowaniu nie stawiano tak wysokich wymagań. „Dążymy do pięknej, wspaniałej przyszłości, ale nie możemy jeszcze dojrzeć jej kształtu, wyobrazić sobie formy i ram życia, do którego zmierzamy. Dlatego chcemy i zapędzić od plastyki, żeby nam to przyszłobrze, sprawiedliwe i szczęśliwe życie ukazała” – perorował Hryniewiecki. Dziś takie słowa brzmiałyby naganie. Mamy mniej złudzeń dotyczących sztuki, ale także przyszłości i na to polega fundamentalna różnica między Pionowocześnie z XXI wiekiem a Nowoczesnymi tamtej epoki. Hryniewiecki ogłaszał w imieniu swojego pokolenia: „Chcemy być nowoczesni. My także chcemy. Tyle że nowoczesność, której pożądamy, to paradoksalnie nowoczesność z przeszłości, modernistyczne retro, które tak świetnie prezentuje się na wystawie w Muzeum Narodowym.

Moda na design z lat 50. i 60. trwa od dawna, kupowanie gomułkowskich mebli, wazoników z Ćmielowa za grosze na targach już się skończyło. Muzeum niczego swym polem nie odkrywa. Dlaczego więc robi? Oczywiście dlatego, że design z tamtej epoki jest atrakcyjny i przyciąga uwagę. Ale nie tylko. To również posunięcie w prowadzonej przez Muzeum grze. Opcyjnie kilkadziesiąt eksponatów. Po jego otwarciu w 1979 roku kolekcji Instytutu Wzornictwa Przemysłowego Muzeum Narodowe posiada ich, razem z własnymi zbiorami, ponad 24 tysiące. Widzimy więc wierzchołek góry skarbów, których nie ma gdzie pokazywać. Muzeum daje nam palec, abyśmy chcieli całej ręki. Jeżeli jednak naprawdę jej chcemy, trzeba budować istniejącą instytucję albo stworzyć nową, poświęconą tylko wzornictwu. To właśnie jest stawka w grze prowadzonej przez Muzeum

„Chcemy być nowoczesni! Polscy design 1955–1968 z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie”, Muzeum Narodowe w Warszawie do 17 kwietnia

Piękny bandyta w celi

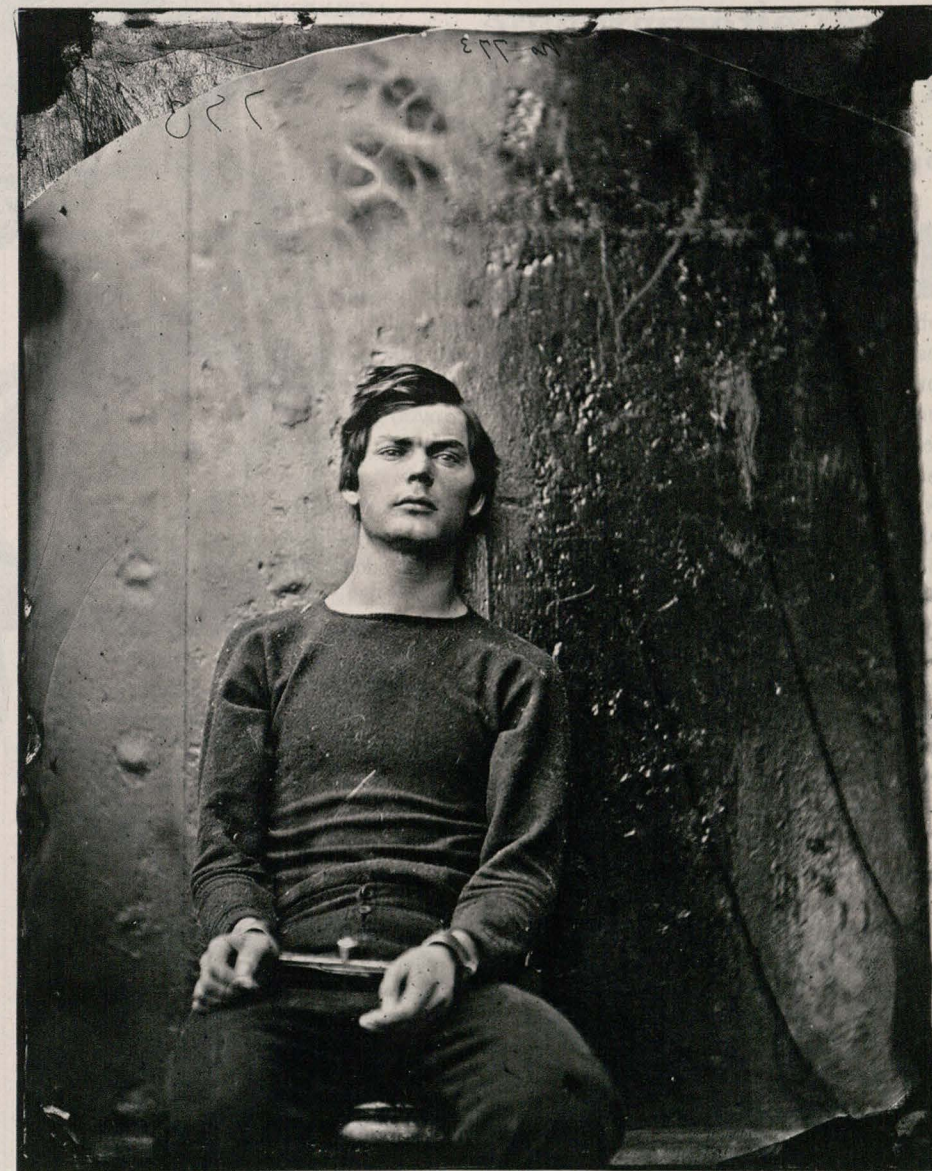
W ostatnich latach gigantyczną karierę w fotograficznym świecie robią mugshoty – wyciągane z odmetów policyjnych kartotek portrety przestępców. Dziś w Stopklatce historia pierwszego takiego zdjęcia

KUBA DĄBROWSKI

Waszyngton, 14 kwietnia 1865 roku. W teatrze Forda podczas spektaklu „Nasz kuzyn z Ameryki” zastrzelony zostaje prezydent Abraham Lincoln. Zamachowcem jest aktor John Wilkes Booth. Booth nie jest działającym w pojedynkę szaleńcem, tylko mózgiem zakrojonej na szerszą skalę operacji. Równoległe do wydarzeń w teatrze przeprowadzone zostają nieudane zamachy na generała Granta, wiceprezydenta Andrew Johnsona i sekretarza stanu Williama Sewarda. Spiskowcy wierzą, że likwidując postaci ze szczytów władzy, odwrócą losy kończącej się nie po ich myśli wojny secesyjnej i dadzą jeszcze jedną szansę konfederatom. Po „godzinie zero” Booth ucieka konno do stanu Maryland. Reszta zamachowców próbuje ukryć się w Waszyngtonie. Rozpracowanie konspiratorów zajmuje policji kilka dni. Ukrywający się na farmie nad Potomakiem Booth nie chce się poddać i ginie od kuli. Pozostali spiskowcy stają przed sądem wojskowym.

Sprawa zamachu rozpala wyobraźnię Amerykanów. Fotografowie wiedzą, że zdjęcia zamachowców będzie chciała wydrukować każda gazeta (w formie drzeworytów, bo technika nie pozwalała jeszcze na drukowanie fotografii samej w sobie). Władze natomiast wiedzą, że jeżeli dopuszczą do tematu wszystkich chętnych fotografów, narażą się na chaos. Zdjęcia ma więc robić tylko jedna osoba. Wybór pada na Alexandra Gardnera, z pochodzenia Szkota, który podczas wojny secesyjnej dokumentował działania wojsk Unii. Do pracy protegował go jego przyjaciel, również Szkot i abolicjonista Allan Pinkerton, właściciel sławnej agencji detektywistycznej. Ponadto to on wykonał ostatni oficjalny portret prezydenta.

Na początek Gardner ma wykonać portrety skazanych. Fotograf nie może jednak wyzwolić się od naturalnej potrzeby zrobienia „dobrego zdjęcia”. Do każdego z uwięzionych spiskowców robi kilka podejść. Portretuje ich na różnych tłach i w różnym oświetleniu,



FOR: Library of Congress

skutych i bez kajdanek. Powstają po prostu ciekawe zdjęcia. Największe wrażenie robi portret najmłodszego ze spiskowców, niedoświadczonego mordercy sekretarza stanu Lewisa Pellowa (na zdjęciu). Do codziennej praktyki

fotografie podejrzanych i skazanych wprowadza kilka lat później agencja Pinkertona. Robienie mugshotów (mug – gęba, shot – pstryknięcie zdjęcia) to nie jest już jednak praca dla fotografów pokroju Gardnera.

ŁADNE RZECZY

Gry i zabawy domowe

Czyli alternatywne rozrywki karnawałowe

OLA SALWA

Niech żyje bal... tyle że w tym sezonie niech żyje z dala od nas. Snucie się na imprezie wśród tłumu ładnych obcych, sączenie słodko-kwaśnych drinków na bazie mocnych alkoholi znanych marek, przekąszanie wyrafinowanych kanapeczek oraz raportowanie wszystkiego, co się dzieje na Facebooku/Twitterze, zostawmy sobie na kiedy indziej. Zamiast tego zostańmy w domu z bliskimi (lub w wybornym własnym towarzystwie) i bawmy się. Olewamy jednak oklepany retro trend, czyli gry planszowe. Kto w dekadzie 2001-2010 nie zmonopolizował rynku nieruchomości, nie popełnił kilku błędów fleksyjnych lub ortograficznych, by zgarnąć potrójną premię słowną, ani nie zbił kilkunastu żółtych pionków, już nie ma na to szansy. Stanowczo blokujemy też wszelkie propozycje gier, które wymagają włączenia telewizora – bohaterami gitary jesteśmy i tak w naszych fantazjach. Poza tym skakanie przed ekranem, machanie wirtualną rakietą do tenisa albo za-



Uwolnienie tuńczyka z objęć kraba to **wbrew pozorom dość proste zadanie**. Producent zabawki oznaczył poziom trudności 2/6

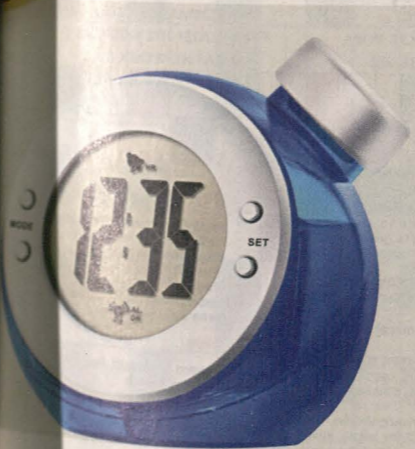
tykanie dziur w przeciekającym statku wygląda z boku po prostu idiotycznie. Oczywiście pomysł spalania kalorii zimą jest zawsze cenną inicjatywą, ale możemy iść przed imprezą na spacer, a zamiast meksykańskich chrupkek i holenderskich serów podać gościom zdrowe przekąski. Do wyboru są makrobiotyczne lub białkowe, te ostatnie dla szczęśliwie topniejącej grupy fanów doktora Dukana. Pokrzepieni zaczynamy od piłkarzyków. Najpierw wybieramy dla swojej drużyny jakąś barwną nazwę (na przykład Czerwone Diabły, Białe-Czerwone, Canarinhos albo Bure Suki), a potem ruszamy do boju o zwycięstwo, szybszy refleks i satysfakcję. Gdy się znudzimy (lub znudzenie zasugerują nam sąsiedzi mający małe dzieci), przechodzimy do gier manualno-indywidualnych. Ich cel? Rozłożenie skomplikowanej zabawki na części pierwsze i ponowne jej złożenie. Nie tylko świetnie się bawimy, ale także trenujemy koncentrację, siłę woli, jak również zmęczone od pisania wiadomości kciuki. Będą jak znalazł, choćby podczas następnego spotkania z meblami z Ikea.

NO ŁADNIE!

Czas na kranówkę

Ponoć w Warszawie można pić niefiltrowaną wodę z kranu. Nieufnym proponujemy napoić najpierw zegarek firmi Wiki. Porcja wody starcza na dwa tygodnie tykania, alarmowania i oczywiście ozdabiania sypialni lub biurka. Jeśli zegarek nadal będzie wzorowo tykać i nie osadzi się w nim za dużo kamienia, będzie można przeprowadzać dalsze eksperymenty kranówkowe. Na przykład pić wodę na czas lub zrobić konkurs, w której dzielnicy wypływa woda o najlepszym smaku. W ciemno obstawiamy warszawskie Bródno.

FOT. BONZINI, G3 Poland (2), Lifestory



Żelazna dziewica lamigłówek, czyli Cast Chain: **torturuje umysły i palce**. Czas rozwiązania? Od 460 minut wżwyz



OBYCZAJÓWKA

Polska miłość po latach...

...czyli jak przepisać Młynarskiego



MICHAŁ WITKOWSKI

Nie ma bardziej banalnej rzeczy niż uzalanie się inteligenta na walentynki, więc ani słowa o tym! W zamian krótka analiza aktualności piosenki Młynarskiego „Polska miłość” (1965). Nowych Młynarskich nie ma, więc jest to ostatnia solidna popowa analiza socjologiczna tego zjawiska. Bo Młynarski pisał miniwykłady z psychologii i socjologii narodu, obyczajowe obrazki miliard razy lepsze od naszej „Obyczajówki”.

Pierwsze wrażenie: zdezaktualizowały się realia. Kobiety już raczej nocą nie piorą koszul swoich ukochanych. W roku 1965 pralka Frania jako wynalazek dopiero się u nas przyjmowała. Czyli może tak: „nocą pieniądze twoje prać”. Rano po bułki może i chodzą, ale w kolejce po nie raczej nie stoją. Moja wersja: „rano ciabattę twoją grzać”. Dwuznaczną aluzję zauważyłem, niech zostanie. W towarzyski flirt nie grają, chyba że na czacie. Czyli może: „gra czasem w...” (i tu jakaś gra komputerowa, która ma pięć sylab). Od kilku lat raczej nie piszą listów do wojska, wcześniej pewnie wysyłały SMS-y. Czyli może: „Czasem do Anglii/Irlandii/Islandii pisze list”. Kuchennymi schodami do mamy nie uciekają, może windą: „Bywa, że windą jak dynamit z dzieckiem ucieka do mamy”. Fotografii raczej żadna pani nie podrze i nie skleji, jeno wykasuje jotpega: „Twe zdjęcie skasuje i” (tu mi się nie zgadza z liczbą sylab), „wyciągnie z kosza? Odzyska dane?”. Zainteresowanie poezją też zmalało, więc jeśli coś odnajdzie po latach, a będą to wiersze, nie przejmie się tym zbyt. Chyba że to niepublikowane piosenki Osieckiej, które Maryla Rodowicz niedawno znalaz-

ła na strychu. W każdym razie dzisiejsza pani zdecydowanie wolałaby „czyjeś pieniądze znaleźć po latach”. Może tak: „Czyjaś forszę odnajdzie po trzech latach”. Natomiast moje wątpliwości budzi fragment: „Na delegację jeździ, het/potem się nie rozlicza z diet/by zaoszczędzić kilka zet”. Aktualne to? Da się jeszcze zarobić na przekrętach z delegacjami? Warto? Dalej: Pod płotem twoim spać nie będzie, może pod murem [strzeżonego osiedla]? Na dworcu panie piwa z tobą już nie piją. Raz, że napój ten ma indeks glikemiczny sto, a dwa – zakaz podawania alkoholu w knajpach dworcowych. Papierosów z tobą też nie będzie palić. Proponuję więc: „na dworcu caffè latte/espresso doppio z tobą pić”. Podsumujmy: „Nie umie błędzić gdzieś we mgłę/z obłoków tu nie spadła, nie/na pięknych słowach nie zna się polska miłość//Umowy o dzieło musi brać/nocą pieniądze twoje prać/rano ciabattę twoją grzać polska miłość//Potem jest senna w środku dnia/na imię zaś czasami ma/jak ta dziewczyna z Facebooka/jak jej było?//Nie lubi się rozczulać zbyt/gra czasem w »Diablo 3«/czasem do Anglii pisze list polska miłość//Bywa, że niczym dynamit z dzieckiem ucieknie do mamy/znienawidzi, na śmierć się pokłóci/i z tipsami do oczu się rzuci//Czasem straci ostatnią nadzieję/fotografię twą wytnie i klei/będzie włóczyć się po adwokatach/czyjaś forszę odnajdzie po [trzech] latach...//Czasem podbite oko ma/na pamięć życie Dody zna/przez Tesco się łokciami pcha polska miłość//I na Chorwację jeździ, het/potem powraca do swych diet/by kilogramy zrzucić wnet polska miłość//Lecz czasem nie zna słowa »dość«/szczęściem zachłyśnię się na złość/i wciąż wspominasz coś, to coś, co w niej było//Umie przebaczać, umie drwić, pod murem spać/na wiarę żyć/na dworcu espresso z tobą pić, polska miłość//Tylko czemu, gdy jest właśnie taka...”. I reszta już jak u Młynarskiego. Jak widać, zmieniły się tylko realia. My, kobiety, jesteśmy bardziej feministkami, nie pierzemy koszul, nie tak ostentacyjnie. Jesteśmy mniej szare i zgnójone komuną. Ale kapitalizm też potrafi zgnoić nas wcale nieźle i uczynić nasze cery szarymi oraz pozbawionymi blasku!

FOT. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARCINA ŁOBACZEWSKIEGO/NEWSPIX.PL



Grajmy do utraty tchu (lub piłeczki, która w trakcie wyjątkowo zaciekłej partii może opuścić boisko), biegnąc wokół stołu Domeau & Pérès

ROMAN KURKIEWICZ

LEWO MYŚLNIE

Za gorąco w ciepłych krajach

Premier apeluje: nie jedźcie do Egiptu! Jest groźnie, nie nurkujcie, bo się Egipcjanie wynurzyli



Rzecznik MSZ zapewnia: w kurortach (gettach dla bogatych, średnio bogatych wyborców PO, którzy wzięli sprawy w swoje ręce...) jest zasadniczo bezpiecznie, zaopatrzenie jest dostarczone, nikt z sierkami nie biega. Ale wracajcie, którzyście pojechali, nie jedźcie, którzyście lastminuty wykupili.

Polska się Egiptem martwi. Ale ciągle jak wrzucamy go w net, to na pierwszym miejscu mamy jednak dobrą, ciepłą pogodę, potem przenajlastniejsze minuty okazyjne, potem groźne rekiny, a nie te Egipcjany, co krzyczą, wielbładami się ganiają. A oświecony Mubarak się zamartwia, że nie może opuścić władzy nad ludem wzburzonym, bo chaos może zagościć, tak jakby nie zagościł.

Zmartwień z powodu egipskich zaburzeń ładu i porządku jest nad Wisłą więcej. Pekabe nam opada, bo biura nie generują obrotu, samoloty stygną, zdjęć się będzie mniej drukować, no w ogóle Egipcjanie się nie zachowali, nie pomyśleli o nas, zapomnieli o naszym pekabe. Egoiści. Gdzie my teraz będziemy nurkować?

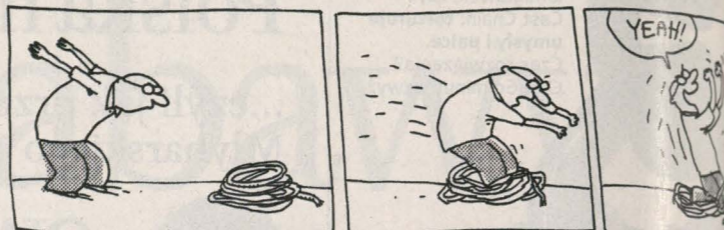
Ale miło, że premier już przygotowuje operację lotniczą „Bigos piramid”. Może uda się wystartować i wylądować, byle nie leciał z nimi żaden generał trzygwiazdkowy, który musi sobie nalatać godzin do awansu na cztery gwiazdki...

Jednak nie ma co popadać w histerię. Pojawiła się nowa szansa na pomoc Egipcjanom. Prezydent podpisał nowelizację ustawy o dostępie do broni palnej, łatwiej będzie na przykład grupom rekonstruktorów historycznych zdobyć pozwolenie.

Proponuję więc założyć grupę W Pustyni i Puszczy i ruszać na pomoc! Nasze polskie kolonizacyjne spełnienia czekają na swój czas.

A tymczasem w Kairze snajperzy pilnują mumii. Niestety, egipscy snajperzy. Klich chyba jednak musi odejść. Niech odpłynie i zanurkuje.

BRACIA M BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ WWW.FACEBOOK.COM/WILQSPER



ALBERT PRZEKONAŁ SIĘ NA WŁASNEJ SKÓRZE. SKOK NA BUNGEE TO NAPRAWDĘ EKSTREMALNE PRZEŻYWCIE.

JOLKA NR 6

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

G12 E1 E10 K8 E3 H5 J6 F3 I12 C12 G10 B4 H4 C11 C7 D2 E9 G8 K5 J4 J4 E3 A1 A1 14 G3 H9 I3 F1 H6 A7 D5 I10 A12 D11 D6 C3 J8 A6 F12 J5 B9

Wyrazy 9-literowe:

- NIE PRZESZUMI PRUTU
- OP-ART MAP TATR

Wyrazy 8-literowe:

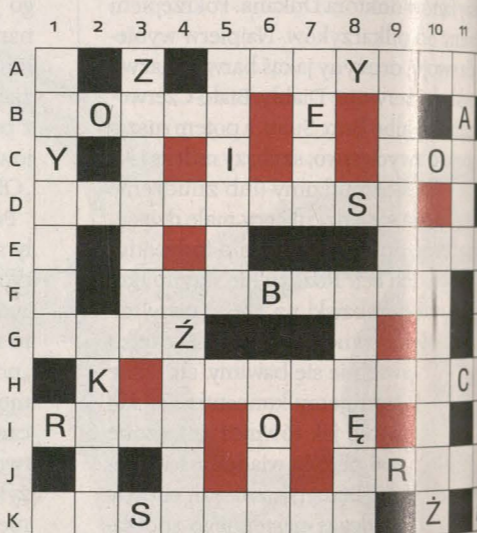
- TOCZY SIĘ NA BEZRYSIU I BEZDZIECIU
- SKOŁOWAŁ SOBIE DOM
- Z PUCHAREM NA BIEGUNIE

Wyrazy 7-literowe:

- WKŁAD DO ZOO
- PAPIERU JAK NA LEKARSTWO
- BŁOTNY I POROSŁY SIENKIEWICZOWSKIM SITOWIEM
- MALUJE SIĘ NA TWARZY

Wyrazy 6-literowe:

- DOBIEGA ZE ŚCIEŻKI
- OWOC SZTUKI
- KSZTAŁT DOWODU MIŁOŚCI WISŁY DO KRAKOWA
- W NIM JAK W CZTERECH KWARTACH



Wyrazy 5-literowe:

- ŁAŃCUCKI EMERYT
- ZOSTAWIAJĄ ŚLADY NA MYSZY
- NA PULPICIE POPA
- PRZYZNAJE SIĘ DO CARY

Wyrazy 4-literowe:

- SAUDYJSKA POLEWKA
- SPAJA DUCHY
- ŚLIMACZE PRZERAŻAJĄ
- MNIEJ NIŻ GODZINA
- RAS AL-WŁADCA
- ROZŚPIEWANA DIANA

ROZWIĄZANIA Z NR. 4

Krzyżówka: PIĘTNO

Poziomo: 1. PELEN PÓL – SUPERMARKET 7. DWIE KROPLE WODY – CIECZ B. NIE E – ARIEL 9. ZDRĄDZ KŁOSSA – WSYPI 10. CZUWA W KRÓTKICH SPODKACH – ZASTĘP 12. POWTÓRKA Z RELIGII – RYTUAŁ 14. STOLEK W SĄLEPIE MEBLOWYM – ETAT 17. ŚRODEK NASENNY – BAJKA 18. DAMA PIK – LANCA 19. DMUCHA POLKĘ DZIADEK – KLARNECISTA

Pionowo: 2. NALEŻA SIĘ – PŁEĆY 3. WIĘCEJ NIŻ RAZ – RAZY 4. SŁODKIE ZIÓŁKO – ANANAS 5. SKŁADA SIĘ NA WIENIEC – KWIAT 6. JEŚLI WIEŚ, CO CHCĘ POWIEDZIEĆ – TELEPATIA 7. MA WŁASNE

CZTERY KĄTY – CZWOROBOK 11. GÓRA W EGIPCIE – FARAON 13. LAS NIE PALMAS – TAJGA 15. RAKIETA ZIEMIA POWIETRZE – TENIS 16. JAJO PINOKIA – KLÓC

Jolka: BOCIAN ZAWSZE SIĘ ZAPERZY, GDY SIĘ W NIEGO NIE WIERZY (z Mariana Hemara)

Rzędami: SKLEPOWA, FORD, JABLECZNIK, NOGA, FIOŁKI, BIZON, OSOBA, RYCERZ, GĘSI, ANTARKTYDA, ZART, STRAŻACY

Kolumnami: BAGAŻE, KWARKI, SARA, FORINT, PIENINY, CZART, WĘŻEL, KOREKTA, FINISZ, YOKO, BRZDĄC, ODWAGA

LAUREACI Z NR. 4

Krzyżówka:

Jerzy Boćkowski, Warszawa
Halina Gaber, Wałbrzych
Bogusław Suwałski, Nowy Tomys
Magda Wojaś, Niepołomice
Irena Żak, Sosnowiec

Jolka:

Edward Chojnacki, Poznań
Katarzyna Kuca, Krzeszowice
Halina Orloff, Milicz
Anna Sulich, Warszawa
Halina Wicher, Wrocław

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Maczanka na bogato



Do szkoły chodziłem w Krakowie. Byłem uczniem liceum pijarów. Szkoła znajdowała się na Czapskich, a internat na Pijarskiej. Codziennie maszerowałem przez rynek do szkoły i z powrotem. Przechodziłem obok mnóstwa krakowskich restauracji i wszystkie zapraszały na maczankę. W pijarskiej kuchni maczanki nie było ni razu... chlip, chlip. Jak bohater filmu „Dawno temu w Ameryce” myślał o ciastku z wisienką, tak ja myślałem o maczance. W którąś niedzielę, mając czas wolny od nauki, poszedłem do restauracji i zamówiłem maczankę. Było to U Hawelki. Maczanka była wspaniała. Ten smak zachowałem w pamięci. Dziś w mojej restauracji U Kucharzy, zarówno w Warszawie, jak i w Londynie, gotuję maczankę dla gości. Jest ona stałym elementem naszego menu. Realizując w telewizji pro-

gram „Wściekle gary”, zaprosiłem któregoś razu do restauracji znakomitego krakowskiego aktora Jacka Wójcickiego. Robiłem tego dnia odciнок o krakowskiej maczance. Jacek spróbował tej, którą przyniosłem z kuchni, i powiedział: „U was to maczanka na bogato, w Krakowie bywa, że to bułka umaczana w sosie, mięsa ani śladu”. Zaręczam, że ta, którą pamiętam i do dziś robię, to najprawdziwsza maczanka krakowska. Okazuje się na bogato. Oto ona.

Proszę wziąć kilogram karkówki (najlepiej ze złotnickiej polskiej świnki), moczyć go w solance (litr wody/10 dag soli) przez 24 godziny. Dobrze nagrzać brytfankę, wysmarować ją odrobiną smalcu (wytopionego ze słoniny), dobrze obsotować (obsmażyć) mię-

so z każdej strony przez 15 minut. Gdy będzie dobrze przyrumienione, dodać kilogram cebuli pokrojonej w piórka, przesmażyć, wlać pół litra mocnego czerwonego wina, wysypać dwie garście kminku, szczyptę pieprzu, szczyptę czerwonej ostrej papryki. Dusić pod przykryciem około trzech godzin. W trakcie duszenia podlewać wytrawnym bulionem. Następnie odstawić brytfankę na ciepłą, ale nie gorącą płytę (maks. 70 stopni) i tak niech „pyka” jeszcze przez godzinę. Podawać z drożdżowymi pyzami (pampuchami) robionymi na parze i gorącymi pieczonymi burakami.

Ukochany pies teścia inżyniera Karwowskiego z serialu „Czterdziestolatek” wabił się Ugrzy. Moja ukochana suczka nazywa się Maczanka (na nazwisko Krakowska).

Prawdziwe męstwo

W roli PRAWDZIWEGO MĘCZYŻNY występuje Mariusz „Pudzian” Pudzianowski (kostiumy & catering na koszt sponsorów)

PRAWDZIWI MĘCZYŻNA:

– Czym jest prawdziwe męstwo? (stacza drastyczną walkę w formule MMA z bliżej nieznanym zawodnikiem wagi ciężkiej) Odwaga? Nie. (unosí w górę dwie ciężarówky z cementem) Siła? Nie. (beztrosko żongluje obiema ciężarówkami, tańcząc jednocześnie piśo dobie) Czyżby zatem niebywałą sprawnością fizyczną połączoną z unikalną koordynacją ruchową? I to nie. (pauza) Oto, czym jest prawdziwe męstwo. (wchodzi do multiplexu, kupuje bilet na film „Jak się pozbyć cellulitu” i heroicznie wytrzymuje do końca projekcji)

KURTYNA opada przy burzy oklasków.

NIE TAK: JANEK KOZA



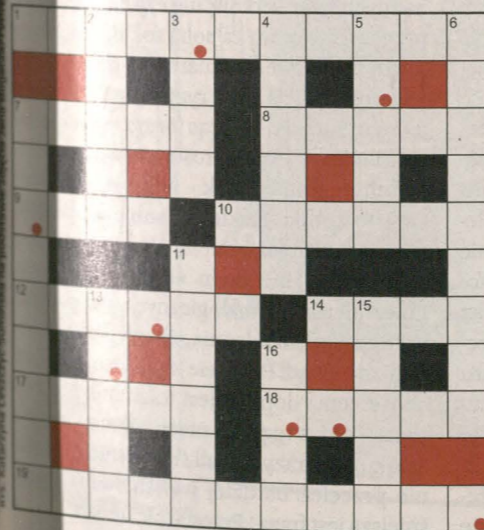
MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Lepiej być niejakiem, aniżeli nijakiem.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

KRZYŻÓWKA NR 6

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

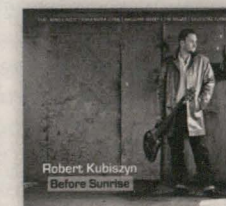


POZIOMO:

1. PRZEBIERA LUDZI
7. URZĄDZILI MU PRZYJĘCIE
8. DOBRA DLA CZŁOWIEKA
9. SIOSTRA BRATA ŁATY
10. MĄŻ ZE WSI
12. CHŁOPAK OD NICZEGO DO NICZEGO
14. PŁAĆ SMSEM
17. SIOSTRA MIESZKA
18. PŁAĆ INWALIDÓW
19. CZŁOWIEK Z DYSTANSEM

PIONOWO:

2. RAZ NA WOZIE, RAZ POD WOZEM
3. GRZEBIE PRZY SAMOCHODZIE
4. MATERIAŁ NA PŁASZCZ
5. LEJE Z NIEBA
6. GRA W OCZKO
7. SZKOŁA SZYCIA
11. MAŁY WÓZ
13. WIADRO DO BANI
15. JAK PAŃSTWO SĄDZICIE
16. WDRAP SIĘ NAŃ

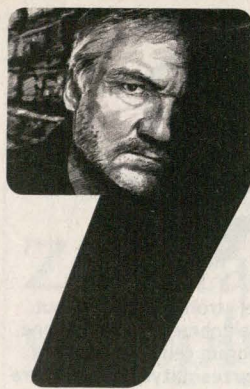


Nagrodą w tym tygodniu jest płyta Roberta Kubiszyna „Before Sunrise” (Proa Records/Universal Music Polska)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 14 lutego 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia zażalenia ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKA lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 6” lub „krzyżówka 6”.



Mam za sobą rok nie najgorszej formy i zupełnie koszmarne - dzień w dzień - samopoczucie. Plus ryzykowną wiedzę, jak jednym ruchem - tracąc formę - samopoczucie poprawić

18 STYCZNIA

Zaczynają mi podchodzić klasyczne - delikatnie mówiąc - frazy. Dzisiejsza: Ani się człowiek obejrzał, rok przeleciał, i to rok z okładem. Niby że szybko? Sprawa poza dyskusją! Dawniej rok trwał 12 miesięcy - teraz miesiąc, góra sześć tygodni. Powstał cały szereg psychologiczno-medyczno-Bóg-wie-jakich-dzień-zjawisko to opisujących, na fundamentalne pytanie: dlaczego czas z biegiem czasu coraz prędszej płynie? Dlaczego w tej jedynej dziedzinie następuje na starość sprinterskie przyspieszenie? - rzekomo odpowiadających; skandaliczne to zjawisko naukowo badających. Jak przystało człowiekowi wierzącemu w księgi, zajrzałem do paru opasłych tomów, pociechy nie znalazłem, generalne wnioski sprowadzają się do mało zniuansowanej tezy: Na starość leci ci szybciej, bo wszystko - w najlepszym razie prawie wszystko - masz już za sobą. Poznałeś prawdę? Skacz z radości, dziadul!

19 STYCZNIA

Tak czy siak, przeszło rok pisania „przekrojowego” dziennika minął - jubileuszu nie obchodzę, ale ciekawe i nowe dla mnie zjawisko, że był to mianowicie rok „bez dziur”, rok systematycznego pisania w sensie ścisłym, a nawet najściślejszym - odnotowuję i ku pożytkowi, może nie tylko mojemu, analizuję. Jeśli kto, jeśli jakiś specjalnie uważny czytelnik mimo wszystko znajdzie w tych linijkach element samochwalczy, nie wyprę się.

Pisałem przez 10 lat felietony w „Tygodniku Powszechnym” - bez chwilowych nieobecności na ostatniej stronie się nie obywało. Pisałem ładnych parę lat w „Polityce” - dziury, a nawet ciągi dziur bywały jak złoto. W „Dzienniku” prawo do dwóch-trzech dziur rocznie przysługiwało mi mocą umowy niepisanej - wykorzystywałem te urlopy bez - jeśli mnie pamięć nie myli - specjalnych naddatków. Dobro samoświadomości powoli i w kawałkach, ale już spływało.

Kwestia dziur w twórczości felietonowej ma - jakkolwiek to brzmi - dwa oblicza. Co in-

nego dziura przez autora zaplanowana, co innego dziura (czarna) autora wchłaniająca.

„Dobrze, że robisz dziury” - pochwalił mnie swego czasu Adam M. i wbrew pozorom nie było w tym cienia ironii. Była to uwaga poważna, trafna i głęboka. Adam niezawodnie od najświetniejszego w naszych dziejach felietonisty, od samego Antoniego Słonimskiego musiał ją usłyszeć - w końcu nie od parady był jego osobistym pierwszym sekretarzem.

Otóż w robieniu dziur jest coś, a nawet bardzo sporo jest na rzeczy. Pamiętam Słonimskiego ogłaszającego felietony w „Tygodniku”, też, ma się rozumieć, innego księcia gatunku Stefana Kisielewskiego - obaj kunszt zostawiania pustych miejsc uprawiali. Oczywiście w tamtych czasach w uprawianiu tego kunsztu musieli mieć silne wsparcie ze strony cenzury, która często gesto teksty im z prostotą zdejmowała; wszystkich jednakowoż duchowych zdobywczy mrocznej epoki udziałem wrażego urzędu wytłumaczyć się nie da. Myślę, że cenzurze znacznie więcej „zawdzięcza” Kisiel. To był atleta pisania felietonowego, swobodnie dawał radę - zajmując się przy tym masą innych rzeczy - pisać regularnie. Cenzura zastępowała wizerunek siłacza obrazem grymaszącego kapryśnika, któremu raz się chce teksty ogłaszać, raz nie. Słonimskiemu też dziury czynili, ale pewnie były i takie tygodnie, kiedy on sam nie zabrał głosu.

W żelaznym utrzymywaniu cotygodniowego rytmu jest i podstawowa zasada fachu felietonisty, i elementarne zarazem tego fachu niebezpieczeństwo. Gość, który dziesięciolecia potrafi co tydzień na łamach zbornie się wypowiadać, jest oczywiście rasowym felietonistą; zwolna wszakże (choć z czasem coraz prędszej) przeistacza się w kogoś, kto nieprzerwanie i mechanicznie - bez zmiany rytmu i bez chwili oddechu - tłucze wiadomą liczbę znaków, czyta się go nadal, ale i to czytanie pozorów, i nie tylko pozorów, mechaniczności nabiera. Zdrowie zawodnik musi mieć żelazne, ale gdy podziw dla jego gry zaczyna się

sprowadzać wyłącznie do podziwu dla brzości, lepiej od czasu do czasu zrobić dziurę, pokazać się na boisku. Lepiej, jak pyta się, czego gracza nie ma, niż widząc go, widzieć: ten znów jest.

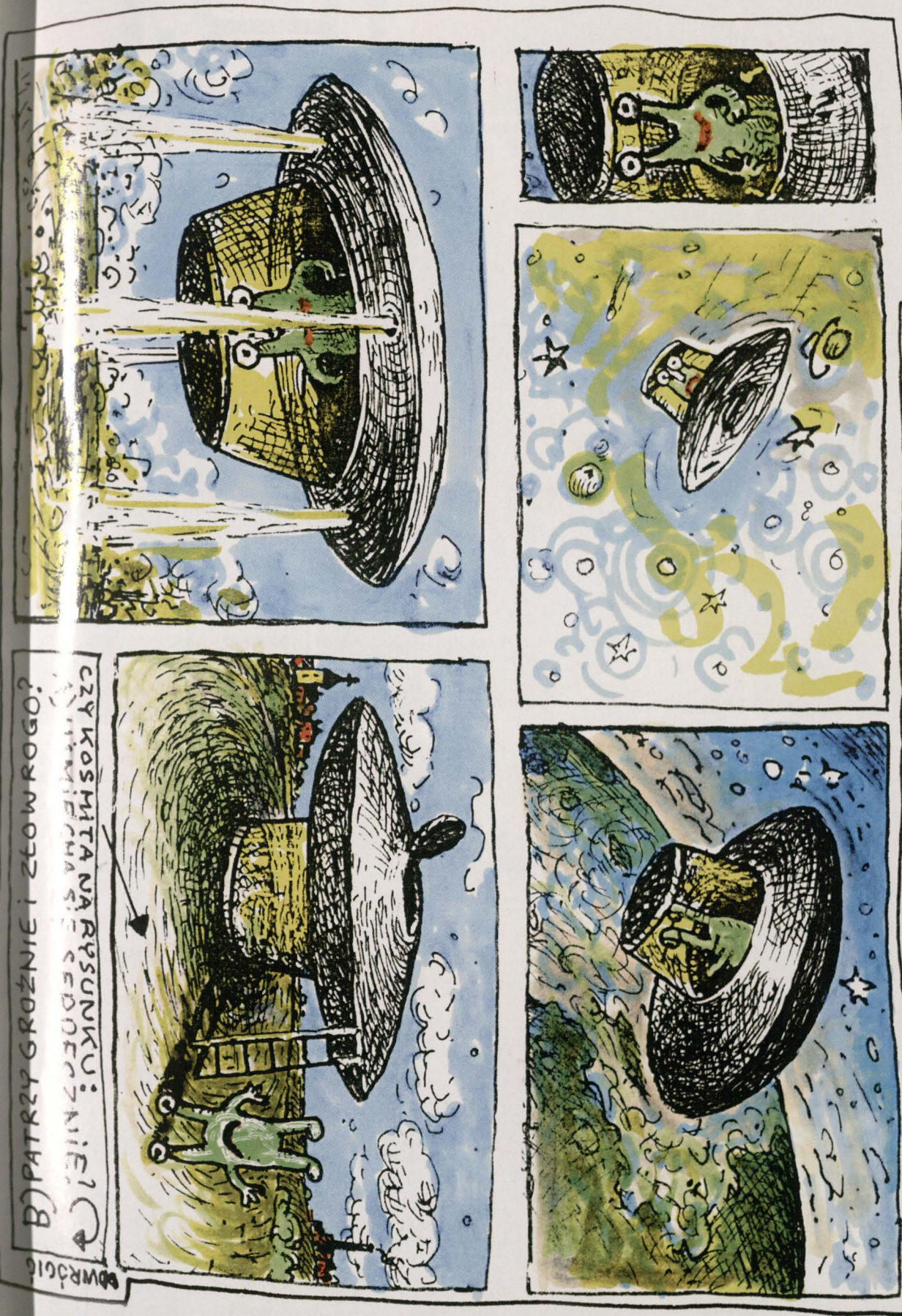
20 STYCZNIA

Rzecz jasna: co innego „Tygodnik”, co innego „Polityka”, co innego Springer i znoważa co innego „Przekrój”. Co innego felieton - co innego - nawet w felietonowym trybie ogłaszany - dziennik. Owszem, chętnie w tym miejscu formy felietonowej używam - by tak rzec - ani jej nie szukam, ani prawie nie puszczam.

21 STYCZNIA

Używając formy dziennika, a nawet dziennika intymnego, spokojnie i bez względu na zwykłą stylistykę mogę wyznaczyć: mnie dziury wchłaniały. Kto wie, to wie. Przepadały w nich bez wieści. I nie tylko formie dziennikowej zawdzięczam, że to się skończyło. Przeszło rocznicy dziennika bez dziur - śmieiej prześwieca rocznica życia bez dziur. Prawie jestem gotów o tym mówić.

Elementarna dla wielu prawda, że nie można wyjść i skończyć - sztuka nie wejść i nie wyjść, dochodziła do mnie długo, ale w końcu doszła. Latami trzymałem się obiegowej teorii: jakoś się wycołgasz. Bądźcie, bądźcie wdzięczni tym, co wspierają was w wycołganiu się, ale raczej ich unikajcie. Oni może, ratują wam życie, ale demonów odganiają. Rzetelnie pomogą wam tylko ci, co was wtedy z konsekwentną pedagogią wzywają. Trudno to przyjąć, ale jak powiedział syk: „Raz przyjęte wynagradza”. Oczywiście żadnych fajerwerków, ulg czy euforii - przeciwnie: mam za sobą rok nie najgorszej formy i zupełnie koszmarne - dzień w dzień - samopoczucie. Plus ryzykowną wiedzę, jak jednym ruchem - tracąc formę - samopoczucie poprawić. Plus proste przeświadczenie, że minimalny wysiłek - najlepiej umyślny - warto zrobić. Całkiem w sobie samym nie czułem się nie uplasowałem, ale kto wie. Spokojnie odzyskując, nie mam zarazem - często i niezmiernie w analogicznych przypadkach - irytującego - złudzenia, że uzyskałem coś wieczne. Skąd! Poczucie jego biegu i jego trwałości teraz dopiero jest tragiczne. Ale nie cięża - cóż z tego, że nieco zgrana - kwes smaku. Od frazy „Zapił się na śmierć” - nie przecież bardziej wyrafinowana i śmieszniejsza jest fraza „Przestał pić i umarł”.



KOSMICZNA ZAGADKA

CZY KOSMITA NA RYSUNKU: REDUCERZNIEM? B) PATRZY GROŹNIE I SŁOWROGO?



Wyznaczamy standardy

TRIO

apartamenty

Zdobywcą prestiżowych nagród
Best Residential Development 2010
i Top Builder 2011



LEPSZY PUNKT WIDZENIA

W sercu Warszawy, u zbiegu ulic Stawki i Pokornej
powstał niezwykle komfortowy kompleks apartamentowy.
Komfortowy, elitarny, inspirowany najlepszymi
światowymi standardami. **CREME DE LA CREME**
25-ciu lat doświadczeń dewelopera i sztuk
architektonicznej.

Niezwykłe miejsce dla niezwykłych ludzi.

www.trio-apartamenty.pl



22 380 11 11